

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,

S o l e c 87.

telefon 2-44-18.

„BLUSZCZ”

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3

telefon 6-76-72.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Dział robót pod kierownictwem JADWIGI KORZENIOWSKIEJ

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem WANDY BORUDZKIEJ

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Autorytet miasta — Zofja Kunicka. Poezje: Matki Boskiej Zielnej — Stanisława Sznaper. Nieumyślna cnota — Wanda Melcer. Orły i pisklęta — Stefania Podhorska-Okolów. Wpływ pani Hańskiej na twórczość i życie Balzaka — Aura Wyleżyńska. Kąt zabity deskami — Hanna Koryzna. Warszawa dawniej, a dzisiaj — Michał Szymański. Polacy kanadyjscy — St. Koszarska - Olechowska. W obozie harcerskim w Parku Paderewskiego — St. Osińska. Z ubiegłego tygodnia — H. N. Z teatrów — S. P. O. Zamknięcie igrzysk emigracyjnych — Irena Pawska. Konferencja kobiet na II Zjeździe Polaków z Zagranicy — S. P. O. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Podkwiatki - Koleusy — Marja Maube. Zbiór i przechowanie cebuli — Marja Dąbrowa. Dom i gospodarstwo. Rozkwit, czy upadek nauki gospodarstwa kobiecego — M. Karczeńska. Porządek — Wanda Dobrzańska. Przepisy gospodarskie — Melba. Mody i roboty.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Ś-to Krzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. tekstu —	700.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	400.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	200.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	100.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł.—	500.—
$\frac{1}{2}$ „ „ —	250.—
$\frac{1}{4}$ „ „ —	150.—
$\frac{1}{8}$ „ „ —	80.—
$\frac{1}{16}$ „ „ —	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „ —	30.—

	zł.
$\frac{1}{1}$ str. okł.—	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabymać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

BHUSTCZ

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Autorytet miasta

Pomimo tego, że nad określeniem pojęcia kultury w sferach nauki toczą się ciągle rzeczowe spory i walki, śmiertelnicy rozwiązują kwestję zwykłym sposobem: w słowo to, niczem w gotową formę, wlewają własną treść i nazwa kultury otrzymuje ten stopień rozwoju, na jakim sami stoją. Gdy zaś człowiek w swych sprawach ogólnozyciowych skłonny jest uważać siebie za umówiony punkt skali, za ten punkt, od którego liczą się właśnie podziałki w górę i w dół — jasną jest rzeczą, że demokratyzacji tego pojęcia odpowiada potocznie całe mnóstwo różnych typów i różnych poziomów umysłowo-obyczajowych.

Oprócz kultury indywidualnej, to jest osobistej zdobyczy człowieka, mamy do czynienia z kulturą zbiorowisk: narodu, klasy, miasta, wsi. Wszędzie, gdzie występuje czy to jednostka, czy grupa, poszukujemy objawów owej wielkiej, zgodnie uznanej wartości.

Czy słusznem jest jednak, że nietylko pierwszeństwo, ale i wyłączność objęło miasto? Że uważa się za źródło i jedynego producenta?

Pozbawiona autorytetu, wyzuta z wiary w siebie prowincja skromnie zostaje na uboczu, godząc się ze swym losem Kopciuszka, po którego nigdy księżę z wielkiego świata nie przyjdzie. Przyjmuje chętnie ubiór, zwyczaje, potrzeby, sposób myślenia, wszelką nawet tandetę wzamian za własny, dobry towar. Przekreśla przeszłość dla nowej, a pełnej pożyczek przyszłości.

Tymczasem odległy, zniekształcony wpływ większych ośrodków przenika w nią najczęściej w formach równie pretensjonalnych, jak karykaturalnych, tworząc tę, często zabawną, maskę, jaka uderza oczy przybysza. Pęd do naśladownictwa, który w dziejach kultury zawsze wyrządzał poważne szkody, odsuwając samorzutność i kierunki rodzimej, miejscowej twór-

czości z własnych zasobów na plan dalszy — rzadko napotyka na jakiekolwiek przeciwdziałanie.

Zamiast wielkomięskiej ruchliwości wytwarzają się szematy i szablony, utrudniające zarówno rozmach, jak i pogłębienie. Można nawet zaryzykować zdanie, że na głębokości życia wsi traci wiele przy zetknięciu się z szeroko rozlaną powierzchnią życia miejskiego.

Wzmożone tempo egzystencji, gdzie czarne i białe strony migają w bezustannym, zmiennym ruchu, owa doza ryzyka, przygody i nieoczekiwanych powodzeń, jakie pociągają swoją pseudo - łatwością, stanowią zawsze silny urok miasta; młodzież, która go zakosztowała, nie może mu się oprzeć. Wtedy to zachodzi ten proces pomniejszenia swoich wartości, proces gwałtownych odrzuceń, który zmienia oblicze prowincji. Zapewne, możnaby stwierdzić, że zachodził on zawsze i że jest nieunikniony. Stroje ludowe, powiadają, są resztkami dawnego szlacheckiego ubioru, melodie ludowe są echem i przeróbką poniechanej, puszczonej w niepamięć muzyki wyższych warstw społecznych. Zachodzi tutaj ciągły, kolisty obieg i pewne rzeczy przechodzą w lud, aby potem, odświeżone w jego psychice, jako bogaty i „nietknięty“ folklor stać się źródłem ciekawości, analizy i natchnienia sfer inteligentkich. Słynne odkrycie Zakopanego dało poznać piękną sztukę podhalańską, która zaważyła swojego czasu poważnie na architekturze polskiej, meblarstwie i zdobnictwie, oraz zasilila twórczość niejednego artysty. Ale rynek mamy obecnie zalany mnóstwem naśladownictw, mnóstwem lichoty, która utrudnia dostęp do szczyrych odruchów artysty ludowego.

Hafty poleskie olśniły Warszawę i otrzymały zaszczyt zdobienia strojów dam z towarzystwa, ale w ojczyźnie swojej, na swojej glebie wychodzą coraz bardziej z użycia, przestają być istotną potrzebą, koniecznym dodatkiem ubioru, stają się zabawką, zabytkiem, albo wręcz śmiesznym szczegółem wobec miejskiej

mody sukienek ze sztucznego jedwabiu i perkalowych z „gorsem“ koszul męskich.

Są wprawdzie okolice, gdzie się udało powstrzymać do pewnego stopnia zalew miejskiego szablonu, gdzie zrozumiano, że chata zbudowana według starożytnego wzoru jest ładna i ma sens, a w sukmanie można doskonale czytać i pisać oraz prowadzić racjonalne gospodarstwo. Ale tutaj chodzi o co innego, bardziej zasadniczego: o autorytet miasta i „kompleks niższości“, jakiemu podlega prowincja.

Zaledwie ktoś minie rogatki miejskie, wydaje mu się, że wstąpił w krainę ciemnoty i upośledzenia, że ludzie, których spotyka, dopiero co przekroczyli próg analfabetyzmu. Rozpiera go duma Kulturträgers i nawianna chęć nauczania. Dla mieszkańca stolicy wiejski dom bez elektryczności, telefonu, bez wodociągów wydaje się zabytkiem zeszłego wieku, życie tamże — godne politowania. Podobne zresztą stanowisko zajmuje cudzoziemiec, gdy przybywa do Polski, na widok polskich dróg, pól obsianych i koszonych ręcznie, drewnianych domków i prymitywnych studzien. Podobne stanowisko zajmuje również ktoś z „innej sfery“, zarzawszy do przeciętnej chłopskiej chaty. Gliniana podłoga zastępuje tam posadzkę, dokoła bielonych gliną ścian biegną najprostsze ławki, na których śpi nocą czeladź, czy rodzina, pozostawiając starym miejsce na łóżku, albo na zapiecku.

Czy jednak te coraz skromniejsze stopnie komfortu, aż do zupełnego jego braku wyznaczają również coraz niższe stopnie kultury? Czy kultura istotnie nie da się pogodzić z prostotą i pewną surowością życia?

Zanadto weszło w zwyczaj uważać poziom komfortu codziennego, sumę wymagań i udogodnień technicznych za objaw wyższego stanu cywilizacyjnego. Wyrosło na tem śmieszne i szkodliwe nieporozumienie, omyłka oparta na tem, że te rzeczy często sobie towarzyszą.

Zadaniem wynalazków, które opuściwszy laboratorja i gabinety uczonych, przechodzą ze stadjum czystej wiedzy w stadjum służby ludziom, nie jest bynajmniej cel sam w sobie, ale cel pośredni. Ułatwienie życia, oszczędność czasu, wysiłku fizycznego i umysłowego, aby ten czas i wysiłek zużyć na rzeczy ważniejsze, t. j. właśnie na tworzenie prawdziwej kultury, o to chodzi.

Tylko takie stanowisko wobec owych narzędzi kultury jest słuszne. Ale ludzie chętnie zatrzymują się na szczyblu narzędzi z cudzego wysiłku, lecz wystrzegają się własnego, ani myśląc o tem, aby duchowy ich rozwój miał ukoronować doskonałość technicznych zdobyczy.

Kultura prowincji, wiejskich dworów i wiejskich chat istnieje jednak pomimo braku świetnej aparatury zewnętrznej. Budowała się w ciągu lat i wieków z niemałym trudem, na marginesie prac uciążliwych i codziennych, aż przerosła na wylot te prace, obyczaj, nadając im własną fizjognomję. Prawa tam rządzące nie były ułożone przy biurku fachowców, ale wyszły same z charakteru, potrzeb, skłonności ludzi, stały się czemś tak organicznym, jak rysy twarzy, jak linje ręki. Te sprawy nie rzucają się od razu w oczy, trzeba wejść głębiej, aby poznać ów typ kultury, trochę archaiczny, pełen prostoty i surowości, który daleko pozostał w tyle poza przykazaniami europeizacji. Bezwątpienia szkoda go zatracać i bez sądu ukamienować niższością. Jeżeli mieszkańcy prowincji stanowią w kraju przeważną większość, nie jest to racją, aby odbierać im wiarę w siebie i czynić z nich mniejszość kulturalną, i kazać czekać, aż przyjdzie ex urbe lux. Bardziej wdzięcznym zadaniem byłoby, przeciwnie, podnieść ich na duchu, przyznać swoiste wartości, swoiste role w ogólnym planie kultury, zachęcić do indywidualizacji. Gdyż od przybytku głowa nie boli.

Zofja Kunicka.

STANISŁAWA SZNAPER.

Matki Boskiej Zielnej

Zsypały się do kościoła
Przeróżne, wędzące,
Wonne,
Senne z gorąca,
Zmęczone,
Zioła.

Macierzanki,
Rumianki,
Wianki,
Dzikie, czerwone jabłuszka,
Żyto, pszenica, owies,
Rozchodniki, mięta,
Marchew, pietruszka,
Gałązki olszowe,
Lepkie, świeżo obcięte.
Pachną dusząco, dziko,
Jarzynami, zbożami,

Płaszczem Matki Boskiej, gipsowej,
Zimnym, niebieskim,
Owocnemi sadami,
Kościelną muzyką,
Wilgotnym paromem,
Zielskiem.

Z ziół poświęcanych kadzidło,
Z ognisk tchnące,
Przyda płodności bydłu
I wszelkim stworzeniom rodzącym.

A drobne pączki i wianki
Ze święconych plonów,
Co od ognia zostanie,
Zboże, mięta, rumianki,
Ludzie poniosą do domów
I powieszą na ścianie.

Nieumyślna cnota

19)

Cała istota Adelci polega na tem, że nigdy nie mówi tego, co ją zajmuje, zawsze zagarnia w jakiś kącik to wszystko, o co jej najmocniej chodzi, żeby przypadkiem nikt się o tem nie dowiedział, żeby nikt nie zobaczył. zawsze każe domyślać się, zgadywać, zawsze rozpacza, że jest nieodgadnięta. Każe. Gdzież ona może coś kazać? Prosi cichemi oczami trzydziestoletniej panny. Dlaczego „maltretuje” Andrzeja? Jakże można się tak prosto pytać? Ależ to całe kłębowisko, rojowisko myśli i uczuć.

— Ja wcale go nie maltretuję. (On mnie nie kocha) — chce powiedzieć poprostu, w skrócie, ale oczywiście nie mówi.

— Adelo, nie postępujesz roztropnie. Andrzej chce się z tobą ożenić, widział się z mną kilka razy i rozmawiał o tobie. Mówi, że boi się do ciebie odezwać, że jesteś zimna, jak lód. „Jak lód zimne oczy twoje, Maryna, napal w piecu”, pamiętasz, co mówił Żyznowski? To ty jesteś tak zimna, że trzeba przy tobie w piecu palić. Wyjdź-że raz zamaż i przestań ludziom w głowie zawracać swoją osobą.

— Mojaś ty swatko.

— O Amalia, sag' a mal ja.

— Poco ci to?

— Chcę zrobić dwoje szczęśliwych.

— Taki rok na ciebie.

Więc aż do tego doszło, że Karolina chce w ten sposób wybadać, jakże wprost, jakże bezczelnie, czy Adeli jeszcze zależy na Andrzeju. Ach, niechże wszystko przepada w tej żółtej glinie, w której teraz chwytają sobie żarcie begonje.

Adela jest tak zmęczona, że ledwie ma siłę wymawiać wyrazy.

— Nie kocham wcale Andrzeja. Zupełnie co innego myślałam przedtem, a co innego teraz, my wcale do siebie nie pasujemy. Co jabym z nim robiła?

Karolina podnosi w zamyśleniu cienkie, doskonale łukowate, podgolone brwi.

— Nie wyjdę zamaż teraz, wyjdę później, i wcale nie za Andrzeja. Możesz mu to powiedzieć.

— Cóż mu mam mówić? — szepcze w zniechęceniu Karolina — sam się tego oddawna domyślał, to ja

mu poradziłam, żeby się jednak ciebie wprost zapytać.

— Jest nietaktowny, jest ordynarny (Boże, poco ja to przy niej mówię?), jak się człowiek czegoś domyśla, to lepiej się wcale nie pytać. Bardzo mu źle poradziłaś, bo to mnie jeszcze więcej do niego zraża. Myślałabym przynajmniej, że jest delikatny, a tak już nawet tego nie mogę o nim myśleć.

— Biedny chłopiec, niedelikatny. Jest poprostu zapracowany, będzie musiał niedługo wyjechać, a ty nie pozwalasz się ze sobą rozmówić.

— Ach, dajmy spokój — mówi Adelcia gwałtownie, zupełnie nie potrzebnie gwałtownie, — możesz więcej ze mną o tem nie rozmawiać.

Nigdy się nie dowie, nigdy się nie dowie. Pojadą sobie razem, wszystko się przecież na to zanosi. Cóż mu po takiej dziewczynie? Co mnie i tobie?

Rzeczywiście, Karolina nigdy więcej nie wróciła do tego tematu. Ach, nie jest znowu taka zręczna, myśli sobie z goryczą Adela, żeby umiała mi cośkolwiek wytłumaczyć. I Andrzej nie pokazał się więcej w ich domu. Adela miała prawdziwe napady neurastenji, w czasie których nie wychodziła ze swojego pokoju i nikogo do niego nie puszczała. Na obiad nie pokazywała się wcale przy stole, czasami służąca przynosiła jej do łóżka trochę zupy, ale przeważnie nie pozwalała i na to. Wygnała nawet ze swojego pokoju Karolinę pod pretekstem, że tej wytwornej damie nie jest wygodnie spać na otomanie i że o wiele jej będzie lepiej w dawnym pokoju ojca. Miewała teraz także długie napady bezsenności, poprostu wstawiała w nocy, czytała, albo szyla, a zasypiała na kilka godzin dopiero nad ranem, kiedy już w pokoju było szaro.

Ktoregoś takiego ranka przyśnił jej się ojciec. Była nibyto na jego koncercie, na którym przecież nigdy nie występował. Czy przyniósł ją sen na ten jego jedyny występ, kiedy był dzieckiem i kiedy grał koncert Griega? Ale tutaj był przecież dorosły, miał na sobie staromodny, czarny tużurek i był bardzo blady. Właśnie schodził z estrady z bukietem kwiatów w ręce,

który od kogoś otrzymał, przeszedł blisko koło Adeli tak, że prawie się o nią otarł, ale jej jakgdyby nie poznał i wcale się nie zatrzymał.

— Tatusiu. — zawołała, kiedy ją mijał i pocałowała go w rękę, ale on łagodnie wysunął rękę z jej uścisku i poszedł dalej, wcale się nie zatrzymując. Wtedy pobiegła za nim z wielkiem łkaniem i w pokoju artystów objęła go za ramiona. Był tak chudy, że pod suknem ubrania poczuła szpiczaste kości. Wtedy dopiero powiedział:

— Zostaw mnie, spieszę się, mam przed sobą daleką drogę.

— Ach, dokąd tatuś idzie? — zawołała z rozpaczą, ale on powolnym ruchem ramion wyswobodził się z jej uścisku i znowu powtórzył:

— Daleko.

Adela obudziła się, cała wstrząśnięta, i tak rozumowała: „Uparta myśl sięga nieznanych spraw i chodzi naokoło tajemnicy. Nie mogę w dzień myśleć o takich rzeczach i nie umiem sobie wyobrazić, jak to jest na banalnie nazwanym tamtym świecie, bo wcale nie myślę, żeby ów świat istniał. Ale moje uczucie, czy moje podświadome pragnienia szukają jednak jakiejś rzeczywistości, w którejby się mój ojciec teraz obracał, bo nie mogą uwierzyć w jego zniknięcie, poprostu tylko dlatego. A że mój mózg nie działa we śnie, więc i ten trup odpowiadał mi banalnie, że ma przed sobą daleką drogę, tak, jakby wogóle mógł jeszcze zrobić jakąś drogę. Razi mnie to dopiero teraz i zastanawia, chociaż przez sen wstrząsnęło mojem sercem”.

Wszystkie sprawy musiały mieć ten przebieg. I tak opowiadam przecież tylko, jak to się stało, że życie Adeli ułożyło się tak ubogo, tak ponad wszelkie wyrazy biednie, tak smutno i pusto. Nie zależy mi wcale na jakichś wielkich rzeczach, nie umiem mówić o żadnych ważnych sprawach. I to chciałam wyjaśnić, dlaczego tak biednie i pusto wypadło życie jej ojca, życie jej kucharki, życie wszystkich ludzi. Ale teraz nie potrafię. Kiedy o nich myślę, przychodzą mi na myśl tylko takie małe, drobne sprawy, okruciny zdarzeń, czyjeś drobne nierozważne słowa. Nic więcej.

Czyż możliwe, żeby to decydowało?

Jak było przewidziane, Karolina musiała wyjechać. Adela nie chciała o tem ani myśleć, ani mówić, bała się przywołać ten wyjazd, bała się myśleć i zrozumieć, że Karolina poświęca się dla niej, że ciągnie ją daleki świat, że ma wreszcie jakieś zobowiązania. Ale to i tak samo przyszło. Pewnego pięknego poranku (poranek był naprawdę piękny, bo był już lipiec i bardzo gorąco) okazało się, że Karolina już jest zapakowana i że wieczornym pociągami wyjeżdża na Wiedeń i Bazylej do Szwajcarii, gdzie ma dać szereg koncertów.

Właściwie nawet pierwsza dowie-

działa się o tem Adamowa, bo Karolina zakomunikowała jej odrazu, że nie będą dziś jeść obiadu w domu.

— Muszę cię wyciągnąć do restauracji, może nabierzesz gustu.

— Chcesz jeść w restauracji? Przecież teraz będziesz się ciągle karmić po garkuchniach.

— Ach, więc chciałaś mi dać ostatnie złudzenie domowego ogniska? Nie, moja droga, na to mnie nie złapiesz. Lepsza w restauracji kura tłusta, niżli w domu groch, kapusta. Zresztą przypatrz się, jak żyją w eleganckim świecie, bo dokumentnie zapomnisz.

Żeby nie robić Karolinie przykrości odmową, Adela włożyła naj-

lepszą czarną suknię (przyzwyczaiła się już trochę do czarnego koloru), nowy, letni kapelusz i poszła z siostrą do Hotelu Europejskiego. Upłynęło już przecież i tak siedem miesięcy od śmierci ojca, cóż zresztą miało za znaczenie, czy pójdzie tam, czy gdzieindziej, czy choćby będzie tańczyć? Ojcu to obojętne.

Jak zwykle, Karolina zachowywała się, jak prawdziwa wielka dama, z całą swobodą. Kazała sobie podać kartę, długo wybierała najsmaczniejsze jedzenie, wcale się nie obawiając, że kelner się z niecierpliwi. Potem zamówiła przekąski, chłodnik, turban z raków, dobre wino.

(d. c. n.).

Wanda Melcer.

Orły i pisklęta

... Jeszcze ręce nie ostygły od uścisku, jeszcze dłonie pieką od oklasków, gardła są pełne kurzu, krzyku i radosnego zaduchu, a oczy nie obechły od słodkich łez, płynących z pod samego serca. Dopiero gdy to serce, rozkołysane tyloma dniami świątecznej pielgrzymki, wróci w powszedni rytm, można będzie zebrać do kupy, zesumować i porządknie w głowie ułożyć to wszystko, co się widziało i przeżyło w te dni, uroczystsze od niedzieli, barwniejsze, niż odpust i ciaśniej gorącym ludem zapchane od najtłoczniejszego jarmarku.

Więc jak to się naprzód jechało, — niejeden trzy dni i trzy noce — z dalekiej Francji, Belgji, Danji, Westfalji, Besarabji, Holandji i z bliższej Litwy, Łotwy, Austrii, Rumunji, Śląska Cieszyńskiego i Opolskiego, i z całkiem już bliskiego Gdańska, nie mówiąc o tych, co ocean musieli przepłynąć, żeby ujrzeć poraz pierwszy w życiu „stary kraj”, ziemię, w której się ojcowie rodzili i po której, umierając, płakali...

A potem — niektórzy prosto z dworca — jeszcze z obcym kurzem we włosach i na przyodziewku, ale z białoczerwonymi opaskami na ramionach, na znak, że nie obcy są, ale swoi, gnali przez wyświeżone miasto, trzepoczące białoczerwonymi flagami aż do lotniska, na rewję, ostrym klinem wpierali się w świąteczny, rozkołysany, szumiący ludzki las i szturmem zdobywali trybuny, aby na ich szczycie zatknąć drzewce z nazwą kraju, z którego przybyli.

Pomiędzy śmigłami masztami, bodącymi niebo srebrnym trójzębem orłów legjonowych, pod wyprężonymi na baczność białoczerwonymi

flagami, chwiały się białoczerwone napisy: Stany Zjednoczone, Francja, Kanada, Brazylja, Argentyna, Niemcy, Czechosłowacja, Rumunja, Łotwa, Gdańsk, Mandżurja...

Jakby ktoś globus pociął na kawałki i ustawił wzdłuż pola Mokotowskiego. A te wszystkie odcinki kuli ziemskiej spoglądały na siebie jednakowymi szaroniebieskimi oczami i gadały do siebie tym samym językiem.

— Bo to proszę was, — mówiła do mnie jedna dzielna kobiecina ze Śląska Opolskiego, — co do mowy, to Niemcy nigdy z nami zrównać się nie mogą, bo Niemiec z Hamburga nie rozumie Niemca ze Saksów, a my tu przecież z całego świata się zjechali i doskonale możemy się rozmówić.

Ta prosta kobieta odczuła potęgę i jednolitość mowy polskiej, zespalałającej narazie rozproszone dzieci jednej ojczyzny, zanim je zespoli mocna więź organizacyjna.

* * *

Jest jeden moment przed właściwą defiladą, który nazywa się bardzo urzędowo i zgoła niemalowniczko: *przegrupowaniem wojsk*. Ale między martwotą nazwy, a faktem owego przegrupowania leży otchłań, po brzegi wypełniono stuprocentową dynamiką, skondensowanym życiem, wrzątkiem puszczonego w ruch ludzkiego, końskiego, armatniego i samochodowego mrowia.

Naprzód podczas mszy polowej mieliśmy przed sobą całą armję w minjaturze, zastygłą w regularne, nieruchome czworoboki. Szarozielona piechota, gniade konie ułanów, gdzieś w głębi zatarte skręty armat i wyzierające z ponad nich zwaliska kapryśnej turkusowozielonozółtej mozaiki: — tanki. A gdzie

niegdzie krople rosy na błoniu: srebrne błyski trąb. Ale oto padło słowo komendy i wielokrotnionem echem odbiło się od masywów pojedynczych oddziałów, jak od omszałych skał. Pod ciosem tego słowa ożyły martwe kolumny, po których dotychczas przesuwali się tylko czasem ruchome żebra karabinów na komendę: „Na ramię broń! Prezentuj broń!”

Najprzód zawarczały gniewnie motory tanków i samochodów pancernych, zionąc niebieskimi kłębamii dymu na piechotę, która szybko odwróciła się do nich plecami. Potem po majdanie głucho zadudniły armaty. I zaczęła się wędrówka narodów. Piechota maszerowała na lewo, artylerja odjeżdżała na prawo. Całe pole zmieniło się w szereg równoległych taśm, najeżonych figurkami ludzi, koni, armat i wozów, taśm, które toczyły się obok siebie, ale w przeciwnym kierunku, jak transmisje puszczonego w ruch motoru. Każdy rodzaj broni kroczył sobie tylko wiadomym, dla widza niepojętym szlakiem. Zdawało się, że ta dziwna zabawa w mijanego, ten potężny korowód, to cielsko potwornego węża bez głowy i ogona, załamujące się w tysiączne skręty, nigdy się nie skończy, że będzie trwało wiecznie, jak perpetuum mobile.

Przyznaję, że w żadnym teatrze nie widziałam zbiorowej sceny, wyreżyserowanej z taką maestrją, wywierającej tak wstrząsające wrażenie potęgą pozornego chaosu, który był poprostu przerażająco zorganizowanym ruchem mas.

W pewnej chwili wąż zaczął się kurczyć, maleć, oddalać i przycichać. Wreszcie znikł zupełnie, poprostu wsiąkł w perspektywę pola Mokot-

towskiego. I tylko jego granatowa, żółtymi pasami prążkowana głowa (szkoła podchorążych w historycznych mundurach) stanowiąca czoło defilady, zdradzała jego przyczajoną obecność. Zapadła długa chwila ciszy, tylko tłum falował i szemrał na trybunach.

I oto nagle z szarego horyzontu zaczęły wypływać na niebo pierwsze aeroplany. Leciały zwyczajem kluczy żorawianych. Po dziewięć ich było w każdym kluczu, pięć kluczy trzymało się razem. Dziesięć takich grup kolejno wynurzało się z za horyzontu i z furkotem motoru przelatywało nad głowami tłumu. A tłum szalał z uciechy. Powiewały kapelusze, chustki, parasole, wyciągnięte ręce kołysały się, jak sztandary. Równy huk motorów w górze złączył się z wybuchami okrzyków w dole w jeden ryk powietrznego szaleństwa. Na spotkanie lecącej eskadry nadciągnęły chmury. Lunał deszcz, zawarczał jeden prawdziwy grzmot. Pierwsza część defilady odbywała się pod rzęsiłą ulewą.

Wiemy wszyscy, że jen. Wieniawa-Długoszowski jest ulubieńcem Warszawy, trzeba dodać: i dzieckiem szczęścia. Bo proszę tylko pomyśleć: mokli podchorążowie, mokła piechota, a kiedy megafon zapowie-

dział defiladę ułanów, deszcz ustał, jak na komendę. Nie pożałowały też sobie galopa kochane chłopaki, a w rytmie ich pędu cwałowały stęsknione serca tych wszystkich, którzy ułana znali z tradycji, albo z pocztówki.

Tłum przybyszów, jeszcze zmęczony podróżą, oszołomiony nowem otoczeniem i niezwykłością nastroju, zdrożony i zmoknięty, dotychczas dość obojętnie reagował na defiladę. Do jego wyobraźni nie przemawiał ani pułk „dzieci Warszawy“, ani inne pułki, wprawdzie bogate w bojową sławę, ale, jak to piechota, mało dekoracyjne. Dopiero brawurowy galop obudził ułana w tych steranych tułaczka i walką o byt ludziach dorosłych, w tej trochę jeszcze nieufnej, niepewnej, wyczekującej młodzieży.

* * *

Wszystkimi bramami lotniska zaczęła walić w ulice powódź ludzka. Plac przed Politechniką webrał głowami. Minęła godzina, zanim z tego morza wyłowiono poszczególne delegacje i ustawiono do pochodu. I teraz nastąpił, kto wie, czy nie najważniejszy propagandowo moment powitalnej uroczystości: bratanie się przybyłych rodaków z ulicą. Przełamany został ten

lód, który zawsze podczas zbiorowych obchodów skuwa milczeniem usta i piersi ludu warszawskiego. Przybysze nauczyli go krzyczeć, wiwatować, szaleć z gromadzkiej uciechy.

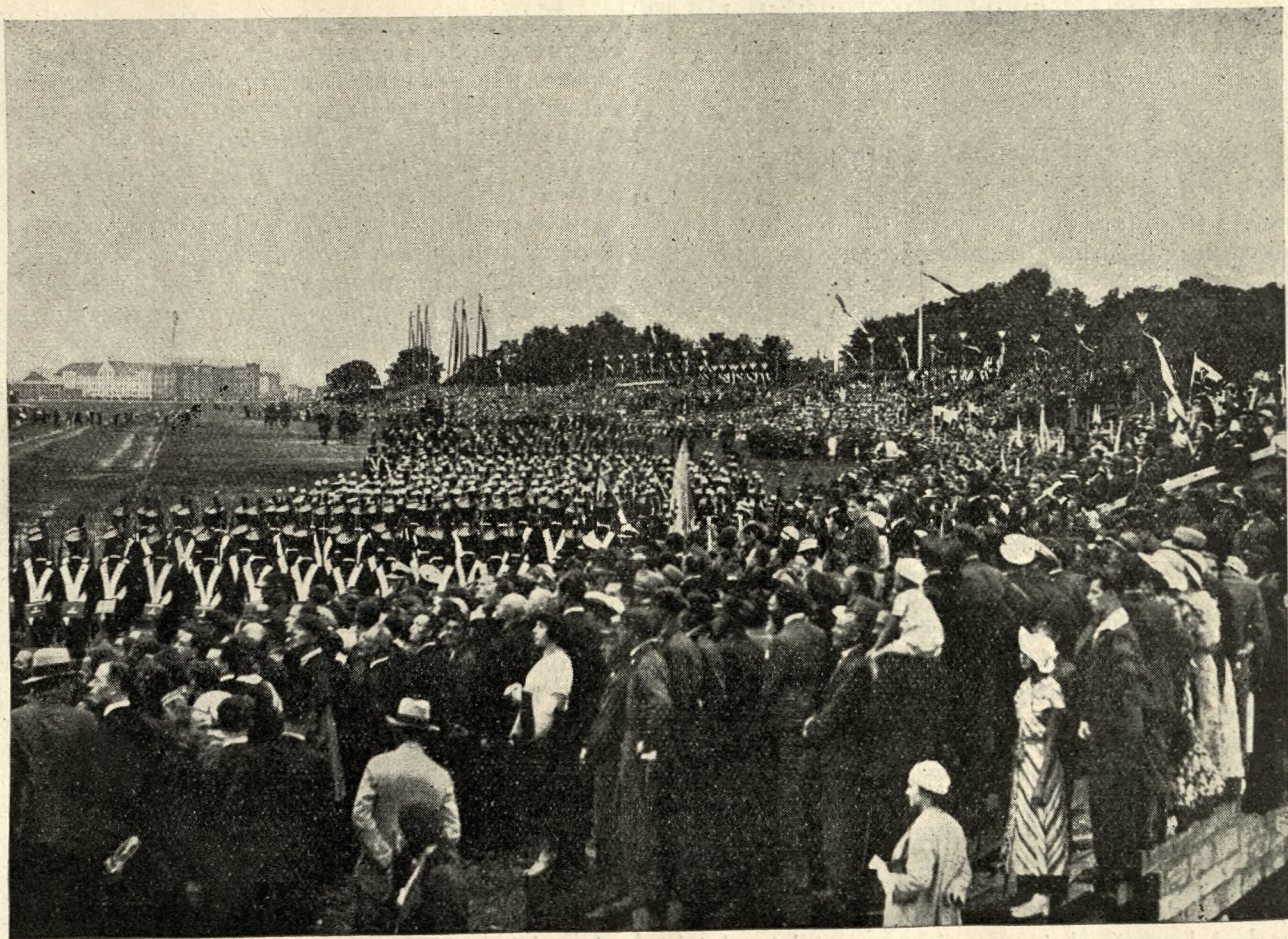
Fala powszechnego entuzjazmu porwała ulicę, kiedy wśród zastępów harcerzy ukazały się szeregi małych „zuchów“ z Gdańska. Drobne sześciolatki ujęły się pod ręce i wyciągając nożyny szły długim, na całą szerokość alei rozciągniętym węzem, wspartym na starszym wyrostku, który wobec tych maleństw doskonale wywiązywał się z podwójnej roli: komendanta i nianki. Na znak dany przez dzielnego dryblasa małe gardziółka tryskały zbiorowym okrzykiem:

— Niech żyje Warszawa! Niech żyją piękne Warszawianki! O rają!

A bokiem co chwila zabiegał ktoś z niedzielnego tłumu, to wyświeżony robotnik, to rozrzuwniona babina, i wtykali chłopcom w ręce, pośpiesznie kupione na wózkach i koszykach wianuszki obwarzanków, torebki jabłek.

Jakby dla rodzonych dzieci! Bo te gromadki szaro-zielonych, jeszcze nieopierzonych piskląt, to przecież przyszłość Polski; i tej krajowej i tej zagranicznej.

Stefanja Podhorska-Okolów.



Rewja na Polu Mokotowskim w d. 6 sierpnia w obecności Polaków z Zagranicy. Po lewej stronie Szkoła Podchorążych w historycznych mundurach.



Pałac w Pohrebyszczu.

Wpływ pani Hańskiej na twórczość i życie Balzaca

Nieśmiertelny Wiktor Hugo zrobił plotkę, jak zwykły śmiertelnik. Na łożu śmierci zastał Balzaka samego i w „Choses vues” zapisał to na niekorzyść „cudzoziemki”. Jakgdyby żona mocarza słowa nie ulegała zmęczeniu! Octave Mirbeau poszedł dalej; odpoczynek w sypialni okrasiał towarzystwem malarza Gigoux, którego wówczas jeszcze nie знаła, ale który potem, przez lat 30-ści, rzeczywiście był kochankiem primo voto pani Hańskiej. W owej epoce mamy przykłady kilkudziesięcioletniej wierności nielegalnych związków. Wiktor Hugo blisko pół wieku żył ze swoją Juliette, drugą, obok prawnie poślubioną, żoną.

Francja bardzo pobłażliwa dla wielkich ludzi, okazała się bardzo surową dla Polki, którą Balzak tak kochał. Obok zarzutów niewierności wytoczono jej proces w imię zgubnego wpływu na pisarza, czyniono zarzuty, iż utrudniała to i tak trudne życie, nieomal psuła mu karierę zbyt wielkimi wymaganiami w stosunku do siebie.

Trwało to długo, dopiero jakie 10 lat temu, Marcel Bouteron, badając te same źródła (za każdym razem wykazują one coś innego), a także mając w ręku świeżo odkryte dowody, przyszedł do nowych wniosków. Boy, osobiście zaprzyjaźniony z „papieżem balzakistów”, bliski, jak nikt w Polsce „Komedji Ludzkiej”, zawsze czujny na każdą, nawet literacką niesprawiedliwość, pośpieszył dać nam prawdziwy obraz rodaczki, która zaważyła na życiu, piśmie i dziejach serca twórcy nowoczesnego romansu! „Pani Hańska” ujęta jest na tle pierwszej połowy 19 wieku, ale, jak u Boya, zawsze w związku z dniem dzisiejszym. Coraz bardziej tracimy poczucie historii, o ile nie jest ona przedstawiona w stosunku do naszej epoki, o której mówi się wiele złego, ale to jedyny sprawdzian przeszłości, gdyż w niej żyjemy.

Obecnie wyszła w Paryżu bardzo obszerna i bardzo gruntownie opracowana rozprawa doktorska Zofii Korwin Piotrowskiej: „O Balzaku i świecie słowiańskim”, z podtytułem: „Pani Hańska i twórczość Balzaka” (*). Autorka zajmuje się nie tylko apologją pani Hańskiej, co zresztą wyżej wspomniani pisarze uczynili już przed nią, ale chodzi jej o wpływ, jaki na literaturę wywarła ta kobieta, która po 18 latach korespondencji została na kilka miesięcy żoną Balzaka. Wpływ był bezpośredni, uczuciowy, a także dzięki zainteresowaniu Polską, pośredni, zasilał wyobraźnię typami, sytuacjami i nawet problemami.

Zaczęło się to od listu z dalekiej Ukrainy, pod dyktando pani pisanego ręką guwernantki Francuzki, którego odbiór wolno było potwierdzić na łamach „Le Quotidien”. Wkrótce potem przyszło „Naśladowanie Chrystusa”, księga pokory, zawsze na czasie dla „galerii pióra, atramentu i długów”. Telepatja, ale też już nawiązanie miłosnego węzła. „Kocham cię, choć nieznaną”, pisze Balzak, jakkolwiek dawne węzły jeszcze nie zerwane. Pierwsze spotkanie w Neufchatel, na promenadzie, z książką w ręku, jakby korespondencja została zawiązana dziś, za pośrednictwem Sourire'u! Następnie kilka tygodni w Genewie i Wiedniu.

Pobożna i mistyczna pani Ewa mówiła, iż uczucie przychodzi niezasłużenie, jak łaska Boska. Oczywiście. Ale jak umiała je zrealizować! Pani na Wierchowia podróżowała z mężem, córeczką, kuzynkami i guwernantką. To dziecko stopowo wychowane w cnocie, lecz wydane zamaż bez miłości, potrafiło prowadzić podwójną grę, widywać kochanka w takich warunkach, że był „pijany rozkoszą” i przyjmować go u siebie, zapoznać z dziedzicem potężnych włości tak, aby pisarz zajmujący się kwestjami socjalnymi mógł z nim rozmawiać o sprawie agrarnej. Balzak ubolewał, iż marnują się bogactwa czarnoziemu, onby dopiero robił tam interesa. Czy lepsze, niż na akcjach w Paryżu i na kopalniach srebra we Włoszech? Refleks tych dyskursów znalazł się w „Chłopach”, niedokończonem a ukochanem dziele, które, jak pisze do pani Hańskiej, jest pośmiertnym hołdem złożonym właśnie zmarłemu jej małżonkowi.

Balzak, jak każdy romantyk, marzył o Wschodzie, zachwycił się panią Ewą, nie tylko dlatego, że była piękną i dobrą, ale także dlatego, iż była inną i daleką. Kosmopolita odkrył w ukochanej źródło poznania nowych ludzi. On, który bohaterom swoim kazał pić wino z różnych piwnic, z radością wprowadził do powieści obce typy. Zapoznał się z emigracją polską, rozmowy i opowiadania rodzinne zasilały wyobraźnię, épopee rzewuskie weszła do „Komedji Ludzkiej”, z Hoene-Wrońskim na czele, jako Adamem de Wierchowia; generał Chodkiewicz, zajmujący się alchemją, posłużył za prototyp Baltazara de Claes, również w „Recherche de l'Absolu”. Obok wielu bardzo postaci, o charakterze (nieraz tylko Balzakowi się zdawało) wybitnie słowiańskim, wprowadził ukochaną kobietę, ideał cnoty, piękności, dobroci, zawsze jednak dyskretnie rozdając jej zalety bohaterkom,

uduchowionej Serafście, Eugenji Grandet, córce Ewy i innym.

Po widzeniu w Wiedniu (1834) następuje rozstanie na lat siedem, z obietnicą, iż będą się kochali in aeternum. Ale pani Hańska wróciwszy do domu, nie ulegając już bezpośredniemu wpływowi czarnych, ze złotymi przeblaskami oczów, niespodziankom wulkanicznej wymowy genialnego człowieka, zaczyna wątpić, że można kochać taką, która oddaje się bez zastrzeżeń, wbrew opinii świata i prawom męża.

„Czy anioły nie są zmuszone zstępować z nieba?” — pociesza Balzak. Naprawdę. Zapewne przyczyną zwątpień w siebie był brak wiary w niego. Ewie nie wystarcza, iż zdaleka jest natchnieniem, doradcą i krytykiem coraz bardziej sławnego pisarza; chce, żeby w zamęcie Paryża był tak wiernym, jak ona jest wierną w głuszy wsi ukraińskiej. Przeczucia, a bardziej jeszcze plotki, idące via Wiedeń, zajmuje się niemi ciotka Rozalja Rzewuska, której pewne cechy nadał „Cousine Bette”, potwierdzają zdradę teraz papierowego tylko kochanka. Próżno przeczą temu listy. Są one też formą literatury, deformują prawdziwe uczucia. Czasem dla celów praktycznych, czasem dla celów jedynie estetycznych.

W roku 1841 umiera p. Hański. Nie, listy nie były czystą literaturą, skoro uczucie zapładniające przez czas jakiś tylko pracę Balzaka, znów zaczęło grać rolę w życiu. Gdy stało się możliwem to, co było już prawie nieosiągalne, „kocham cię jak uczniak”, woła przeszło 40-letni, zmęczony nadmiarem książek, dręczony przez dłużników, znany całej Europie tytan pracy. Teraz kobieta się waha, boi się lat, które ich rozdzieliły, on nie lęka się niczego.

„Wszystko mi jedno, czy jesteś ubogą czy bogatą, starą czy młodą, piękną czy brzydką”. Dotąd pani Hańska była marzeniem i natchnieniem Balzaka, obecnie staje się jego gorącą miłością i najbliższą



Wincenty Hański.



Anna Hańska.

w świecie osobą. Nietylko ona, jej córka Anna, również, a potem i zięć hr. Jerzy Mniszek. Może romantyczna para pokochała się nanowo, dla samych siebie? Ewa wie, że człowiek genialny pełen jest wad i ułomności, a nawet śmieszności, Honorjusza nie pociąga już wielka dama, arystokratka, cudza żona, lecz istota duszą i ciałem bliska, z którą czeka go spokojne, najdroższe w życiu, codzień. Ale kłopoty majątkowe odwołają połączenie, dopiero kosztem wyrzeczenia się swych dóbr na rzecz córki, zadawalniając się dożywociem, dostaje pani Hańska pozwolenie od cara, na powtórne zamążpójście. Wychodzi za mąż w Berdyczowie, w marcu 1850 roku, w sierpniu umiera w Paryżu Balzak.

Czy można mówić o ujemnym wpływie kobiety, która przez tyle lat wypełnia pisarzowi życie, podnieca jego pracę, stoi choć nie osobiście, przy jego biurku, niesie mu moralną a czas jakiś i materialną pomoc. Do zdania „Etrangère”, dumny i zarozumiały następca Rabelais i Molière’a przywiązuje wielką wagę. Tłumaczy się jej z ruchów i charakteru bohaterów, wedle żądania stara się nadać najpiękniejszą formę każdej powieści. Rano pisze nowe rzeczy, w nocy poprawia dawne, żeby tylko była zadowolona. Dla miłości, która jest „esencją życia” nie zaniedbuje rękopisów, zwalnia tempo dopiero w ostatnich latach, gdy rozmach się wyczerpał i zapragnął spokoju domowego ogniska. Nie chce nic robić, pragnie być wolny, mając przy sobie kochaną i bogatą kobietę, która może ułatwić wszystko, nawet wstęp do Akademji.

Zarzucano Ewie, że jej wielkopańskie podróże wykoledowały Balzaka, zmuszały do wydatków, za które pokutował większym jeszcze wysiłkiem. Pomijając to, że dla literata każda chwila odpoczynku może być płodną w skutkach, nieświadomie gromadzi on zapas wrażeń, a potem z niego czerpie, przeciążonemu pracą i długami jedynie eskapady miłosne dawały możliwość poznania obcych krajów, do których bardzo tęsknił.

Francja surowo też potępiła p. Hańską za to, iż po genialnym, mogła kochać prawie zwykłego człowieka. Choć jemu wolno było, co prawda w czasie 7-letniej rozłąki, zdradzać przyjaciółkę... Trudno, po śmierci Balzaka żona jego nie potrafiła być samotną...

Zofja Korwin-Piotrowska nie tylko odparła wszelkie zarzuty czynione pani Hańskiej, ale jeszcze, opierając się na bogatych źródłach, wykazała dodatni jej wpływ na wielkiego a nieszczęśliwego twórcę. Uczyniła to z wielką erudycją, szeroko podmalowując ogólne tło owej epoki. Zaczyna od dzieciństwa Ewy Rzewuskiej w Pohrebyszczach, środowiska rodzinnego, życia na Ukrainie, arystokracji, wpływów naszego romantyzmu. Rozdziały te są to drobne studia obyczajowe i literackie dla użytku cudzoziemców. Obszerny wstęp potrzebny był autorce, aby wykazać, ilu i jakimi węzłami była związana młoda kobieta, która,

żyjąc w Polsce, umiała się przenieść myślą w inny, obcy, zdawałoby się, dla niej świat, i uczucie swe zawierzyć, niezwykłemu wprawdzie, ale „lekkomyślnemu“ Francuzowi. W dalszym ciągu książki spotykamy się z rzeczowym, bezstronnym i gruntownie opracowanym rozwojem stosunku tych dwojga ludzi, w różnych fazach życia i twórczości Balzaka.

Zetknięcia ich na platformie życiowej, których tajemnice rozwiązuje intuicja, bardziej jeszcze są interesujące od tych, które — przeinaczając — utrwalała tytaniczna wyobraźnia artysty. To też każdy nowy wgląd w dzieje serca pisarza posiada wielkie znaczenie, tembardziej, gdy to czyni nie tylko pracowite, ale i kompetentne pióro. Zasługi pani Zofji Korwin-Piotrowskiej oceniła Akademia Francuska, wynagradzając jej za dzieło o Balzaku nagrodę 20000 tysięcy franków.

Aura Wyleżyńska.

Kat zabity deskami

O dziesiątej trzydzieści pan Ignacy Skrzypczak zaprzęga anemicznego konika do pocztowego wózka i jedzie na dworzec kolejowy po worki i przesyłki. Zabiera cały transport i przywozi do urzędu przy ulicy Warszawskiej. Pan Skrzypczak śpieszy się bardzo i niechętnie mruczy pod nosem, gdy wymalowana panna Natalja odbiera od niego przesyłki, ani na chwilę nie zaprzestając flirtu z zezowatym panem Albinem. Skrzypczak nie objawia jednak zniecierpliwienia swego zbyt jawnie. Lęka się utracić posadę. W tak małej miejscinie, jak Iksinów, żaden z trzech tamtejszych dorożkarzy nie dorabia się majątku. Dobrze, iż Skrzypczakowi trafiło się dwa razy dziennie przywożenie poczty z oddalonej o kilka kilometrów kolei. Zawsze to jest te trzydzieści złotych na miesiąc. Ale za dużo czasu tracić nie może. Jeśli nie zdąży na pierwszą pod sąd, doradca prawny, mieszkający na Piaskach, gotów wsiąść do „brazylijana“ Knecia. A potem trzeba jeszcze raz pojechać na dworzec — tym razem już dorożką. Może jaki gość się trafi? O godzinie piątej po południu zaś trzeba znów konia do pocztowego wózka przełożyć.

Panna Natalja zdecydowała się odebrane przesyłki rozsegregować. Niema tego znów tak bardzo wiele. Do gminy Skrzatów dwa listy i gazeta. Do dworu Skrzatów trzy gazety i kartka na list polecony. Trzy zaprotestowane weksle dla gminy Mirów. Kilkanaście listów i gazety dla Iksinowa. Mała paczka (pewnie z lekarstwami) dla weterynarza. Przekaz pieniężny dla komornika.

Dziś targ piątkowy. Nalazło się do urzędu chłopstwa i udźdów. Naturalnie i pokrecona, udająca niemowę, Maryśka też przykuśtykała i wymownym bełkotem oraz olbrzymią tabliczką z wydrukowaną

na niej prośbą o wsparcie usiłuje zwrócić na siebie uwagę interesantów urzędu. Chłopi bez ceremonji palą machorę i strzykają śliną przez zęby. Na ścianie widnieją wyraźne napisy: „Nie pluć na podłogę“ i „Palenie wzbronione“.

Panna Natalja denerwuje się widocznie. Nie zwraca uwagi palącym i plującym, gdyż z doświadczenia wie, że wywołałaby tylko kpiny i nieprzyzwoite dowcipy. Pan Albin jest niepokąźny i głosik ma tak słaby, że napewno nie stanie w jej obronie. Z wściekłością więc daje panna Natalja burkliwie odpowiedzi czeladnikowi od szewca Zylbersztajna, który przyniósł źle opakowaną paczkę do wysłania i nie umie właściwie zaadresować receptuś na dawczego.

Gmina Skrzatów odległa jest od Iksinowa o piętnaście kilometrów t. zw. polskiej drogi. Ludność w niej jest uboga z racji słabych gruntów. W zimie więc, gdy i o dobry przydziewek i buty trudno, do miasteczka mało kto ze Skrzatowa zagląda. A dziś jakby naumyślnie na taki mróz przyszły dla nich aż trzy listy. Dobrze choć, że zwyczajne a nie polecane.

Panna Natalja wychyla się z okienka.

— Czy jest tam kto ze Skrzatowa? Są listy do zabrania.

Chłopstwo zafalowało i popatrzyło po sobie. Ktoś mruknął:

— Nikogój nie widno.

— Więc może kto da znać do Skrzatowa? Jest jeden list z Francji.

Teraz zainteresował się żyd od Zylbersztajna. Trącił w bok rzeźnika Nuchima. Coś mu tam zaszwargotał poichnemu.

Gruby Nuchim niechętnie wystąpił naprzód.

— Ny, ja widział dziś sołtysa z Krzywopola na mieście. Onby za-

niósł do Skrzatowa. To ino sześć—osiem werst.

— Ale. Musi będzie ze trzynaście.

— Głupiemu gadajcie.

— Czy jest, czy nie jest, wszystko równo. Nikomu nie ochoła ganiać tyli świat drogi. Niech se te listy leżą u panny.

— Ale to z Francji. Może z Paryżu? — interesował się młody czeladnik szewski.

Nuchim nagle się zdecydował.

— Mogie zabrać. Jak spotkam sołtysa, to jemu oddam.

— Ale. Jeszcze zgubicie. A może to list od kawalira do dziewczuchy, co tu we wsi ostała?

— Jak ostała, to krzywdy se nie da zrobić.

— Komu krzywda, komu wygoda.

— I ten kawalir we Francji ma dobrze.

Zniecierpliwienie panny Natalji dosięgło szczytu. Nazłaziło się tu tego chłopstwa tyle, że niema czem odetchnąć i jeszcze uszy wędzną od słuchania ich rozmów. Wyciągnęła więc pocztę dla gminy Skrzatów i wręczyła ją Nuchimowi z teoretycznym zastrzeżeniem, żeby postarał się szybko odnaleźć sołtysa.

Czeladnik od Zylbersztajna natychmiast zrozumiał trudną manipulację z nadaniem przesyłki i szybko zbliżył się do Nuchima. Razem opuścili urząd pocztowy.

Na ulicy nieśmiało zwrócił się do rzeźnika z prośbą o pokazanie listu. Tego z Francji.

List był przystrojony cudzoziemskimi markami i niewprawnie zaadresowany na imię Barbary Kopeć, wieś Tuleje Wielkie, gmina Skrzatów.

Na rynku ruch targowy już słabł. Na ustawionych rzędem furmanek kulili się z zimna podrostki, pilnujący koni i bata. Starsi rozgrzewali się w szynku. Tam też Nuchim znalazł sołtysa, któremu niewiele już brakowało do stanu zu-



**Urok kobiecy — to
miły uśmiech. Uśmiech
— to białe zęby.**

DENTOLIN
Karpińskiego nie tylko
bieli zęby, ale wzmac-
nia dziąsła i zapobiega
tworzeniu się kamienia.

Dentolin nie zawiera mydła.

pełnej szczęśliwości. Wręczone so-
bie listy machinalnie zawinął w
czerwoną chustkę i schował pod
czapkę.

— A zważajcie tam, jak się bę-
dziecie kłaniać przed figurą, żeby-
śta pism nie pogubili.

— Nie zgubi, nie. Na taki mróz
to i figury nie dojrzy.

— Nie może zgubić, bo i ze sta-
rostwa papiery do gminy niesie.

Sołtys nie zgubił listów. Doniósł
je do Skrzatowa niezupełnie świa-
domie, a raczej siłą przyzwyczajenia.
Pisarz gminny skończył już ur-
zędowanie i sołtys znalazł go do-
piero u sklepikarza w mieszkani-
u. Pisarz zły, że dla urzędowych
spraw przerywają mu wizytę, po-
bieżnie przejrzał papiery ze staro-
stwa, a prywatne listy odłożył na
bok. Ledwie na trzeci dzień, kiedy
sklepik sprzątnięto, ktoś je tam zna-
lazł. Urządzono, że prędzej adresaci
przyjdą do sklepu, niż do urzędu
gminnego. Listy położono na półce
koło mydła i sznurowadeł. Tam
przeleżały dwa miesiące. Wreszcie
przez jakichś gruntowniejszych po-
rządkach znów się znalazły. Szczę-
śliwym zbiegiem okoliczności tego
samego dnia trafił się do sklepu ktoś
z sąsiadującej z Tulejami Wielkie-
mi wsi. List z Francji poszedł dalej
w kierunku adresatki. Naturalnie
jeszcze nie zaraz trafił do jej rąk.
Zaniesiono go do szkoły, gdzie cho-
dziły dzieci z kilku pobliskich wio-
sek. Dzieci — jak to dzieci. Choć im
nauczyciel list oddał i przykazał,
żeby go zaraz Barbarze Kopeć od-
dały, ale Barbara mieszkała na
kolonii pod lasem i nie było u nich
takich dzieci, co by do szkoły cho-
dziły, więc Piotrek Chrzan, który
miał się doręczeniem listu zająć, nie
chciał sam tak daleko lecieć. Wresz-
cie po dziesięciu dniach sama Bar-
bara przyszła do Chrzanów. List po
tygodniu drogi przez pół Europy i
po trzechmiesięcznym wędrowaniu
na przestrzeni piętnastu kilome-

trów trafił wreszcie do rąk adresat-
ki. A treść listu była taka:

„Niech będzie pochwalony. Pew-
nie mi odpowiesz kochana Basiu Na
wieki wieków. Piszę do ciebie z tej
Francji, co my się spodziewały, że
biednemu człowiekowi i na odzie-
nie i na żarcie i na starość da zaro-
bić. A tu stale nowe prawa wydają
na emigrancki naród. Podatki od
zarobku takie, że odłożyć — nie od-
łożysz, a jeszcze i co kóten ma za-
pasu to przejeść musi. Tak więc ja
tu z jednym postanowiłem, żeby do
tej Polski wracać, póki jeszcze pie-
niędzy na drogę starczy. Tylko je-
dno muszę wiedzieć. Samaś mi Ba-
siu kazała wracać prędko a nawet
i puścić mnie nie chciałaś z Polski.
Jak wrócę, chciałbym się z tobą że-
nić. Nie pamiętaj, że wtedy na za-
bawie zadawałem się z Jadwigą.
Bidna sierota jesteś to myślałem się
żenić z bogatszą. Ale tak z daleko-
ści to ino ty mi jesteś miła. Ale mu-
sisz mi zaraz, a najpóźniej za dwa
tygodnie dać znać, czy jeszcze mnie
chcesz, bo tu się jedna francuska
wdowa co ma lepszy handel jak
sklepikarz w Skrzatowie chce za
mnie wydać. I mieszkanie ma szy-
kowne i ogródek i gramofon i sama
niczego. Tyle że po francusku zaw-
sze gada. Ino, że jak się z nią oże-
nię to już do Polski nie wrócę. Pó-
ki się nie wytraciłem ze wszystkie-
go com miał to mogłem się w Pol-
sce i z Jadwigą i z każdą inną oże-
nić. Teraz jak przyjadę z gołemi
rencami to z tobą bym wszedł w
stan małżeński. Już jak być bezro-
botnym to lepiej w swoim kraju
jak w cudzym. Szkoda mi tu zo-
stać, a jak się z tą wdową nie skoń-
czy to choć i z głodu zdychaj czło-
wieku. Napisz więc zaraz co mam
robić. Jagódka ty moja. Adres ci
piszę.

Twój kochający
Władysław Derkacz“.

Hanna Koryzna.

Kochana Haniul

Zapytujesz, jak, mieszkając na głu-
chej wsi, zdala od Chemicznych
Pralni, nie posiadając wykwalifi-
kowanej służącej, potrafię zawsze
wyglądać „jak z igły“. Ha, widzisz,
moje dziecko, życie wcześniej nau-
czyło mnie samowystarczalności.
Wszystkie osobiste drobiazgi, re-
kawiczki, pończoszki, nawet jed-
wabną bieliznę i cienkie wełniane
bluzki piorę sobie sama w „My-
dle Żółciowym“ M. Ma-
linowskiego, mającemu cudowną
właściwość odświeżania barw, na-
dawania tkaninom miękkości i ela-
styczności. Radzę Ci koniecznie za-
poznać się z tym doskonałym
wyrobem...

Apteka, Warszawa, Nowy Świat 31.
Lab. Chem. Farm. ul. Chmielna 4.

MILJON I KROCIE SZUKAJĄ SWYCH WŁAŚCICIELI

Ostatni etap przed wielką roz-
grywką o milion złotych zakończył
się w piątek — w drugim dniu cią-
gnięcia klasy III-ej 30-ej Loterii
Państwowej. Tym razem Fortuna
zwróciła uwagę przede wszystkim
na ośrodki przemysłowe: główna
wygrana 300.000 zł. padła w droho-
byckim zagłębiu naftowym, zaś
100.000 zł. w Łodzi. Stolica zado-
wolić się musiała pięćdziesięcioma
tysiącami, nie licząc, naturalnie,
mnóstwa pomniejszych wygranych,
którymi zasilona też została obficie
provincia.

Łódzkie sto tysięcy padło na Nr.
51.389, będący wyłączną własnością
współpracownika jednej z farbiarni
łódzkich, p. R. J. W Drohobyczu
natomiast na wygrywający 300.000
zł. nr. 56.439, zakupiony we Lwo-
wie, złożyło się aż 9-ciu właścicieli:
dwóch muzyków, fryzjer i jego
czterech przyjaciół, niezamożna
wdowa i emigrantka, przebywająca
we Francji. Dwie ostatnie mają
każda po ćwiartce.

Obecnie wkraczamy w okres naj-
bardziej emocjonujący — przego-
towań do rozgrywki czwartej kla-
sy. Na swego przyszłego właścicie-
la oczekuje milion złotych, a nadto
250.000, 150.000, 100.000, 50.000 zł.
i 49.200 innych wygranych.

Ciągnięcie rozpoczyna się 4 wrze-
śnia i trwać będzie do 21 tegoż mie-
siąca. Ostateczny termin odnawia-
nia losów mija z dniem 1-ym wrze-
śnia, spieszcie się więc, by uniknąć
później nieporozumień i gorzkich
rozczarowań.



Zamek Królewski. Część elewacji od strony ogrodu.

Warszawa dawniej i dzisiaj

(Z okazji święta Warszawy 4 – 17 b.m.)

Z ustaleniem przez Zygmunta III królewskiej rezydencji w Warszawie w 1596 r. i z wybudowaniem nowego murowanego zamku rozpoczął się okres rozwoju Warszawy, przez powstawanie stałych i okazałych siedzib nowego mieszczaństwa. Łączy się z tem również powstanie instytucji Warszawy XVII i XVIII wieku.

Po przebudowie zamku, kształt jego przybrał założenie pięcioboczne, mniej obronne, o fasadach w charakterze wczesnego baroku. Również za Zygmunta III powstało w Warszawie kolegium i kościół Jezuitów, oprócz wyżej już wspomnianych licznych domów mieszczańskich, które zatrzymały do dzisiejszego dnia swój dawny charakter w Ryńku Starego Miasta. Wysokie, z gęstą siatką okien, ściśnięte jakby, posiadają przy skromnym swym

charakterze, wystrzelającą w górę główną ozdobę w grzebieniach attyki, osłaniającej dach od ulicy, nadając przez nią budowli specyficzny polski charakter. Bogate są często portale domów. W zastygłym swym, poważnym i malowniczym zarazem wyrazie, noszą kamienice staromiejskie cechy baroku, osadzonego jakby na dawniejszej strukturze.

Za Władysława IV wygląd Warszawy ulega pewnej zmianie: ztraca się z wolna ważność staromiejskiego rynku na korzyść placu przed zamkiem, który uzyskuje w tym czasie wysmukłą kolumnę Zygmunta III Wazy, a rozrastająca się stolica wylewa się swojemi, luźno stawianemi, pałacami poza dawne mury miejskie. Przybywa w tym czasie kościół Pijarów (projektu Józefa Fontany), doprowadzając się do

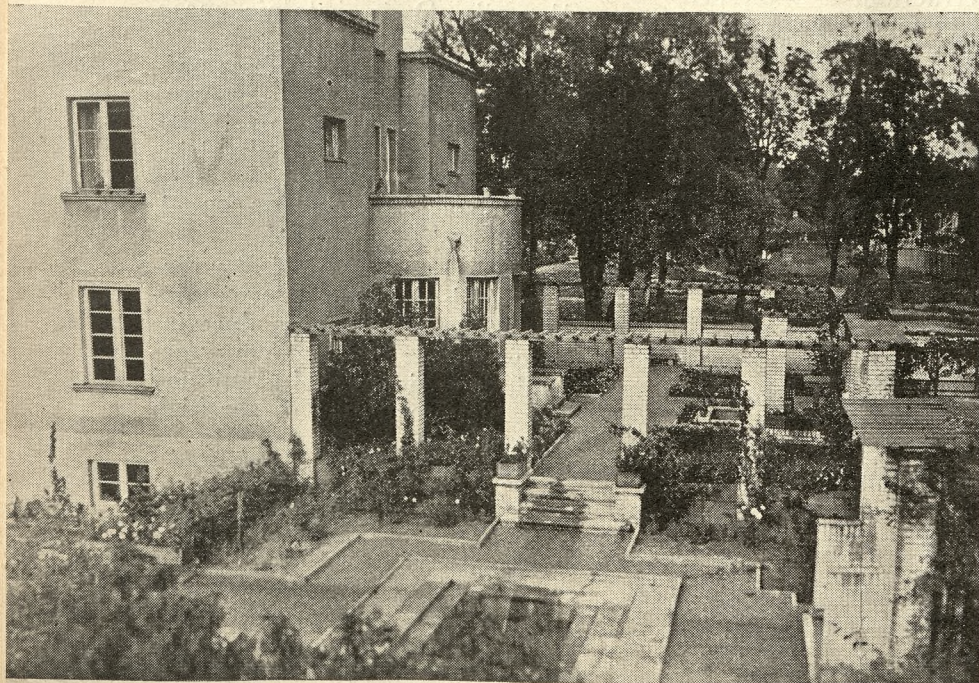
Warszawy, za sprawą Marji Ludwiki, XX. Misjonarze, Wizytki i Siostry Miłosierdzia.

Za Jana III uzyskuje stolica piętno wyraźnie barokowe, w którem przewijają się wpływy włoskie i, za pośrednictwem Gdańska, flamandzkie. Najwspanialszym okazem budownictwa tej doby jest pałac Rzeczypospolitej (Krasińskich), czarujący do dzisiaj nasze oko. Kościelne budownictwo wzbogaciło się o nowe budowle kultu, mianowicie kościół Kapucynów i Pijarów (ostatni typowy dla działalności architektonicznej Józefa Fontany), utrzymane w klasycyzującym baroku. Obok tych, powstają równocześnie niemal kościoły o założeniu centralnem, np. Sakramentek, lub odmiany II Gesu (w kościele Karmelitów na Krak. Przedm.).

Pomimo powstania tych wszystkich wspaniałych budowli, dopiero za Augusta II nabrało miasto wyrazu szerszego rozmachu. Ruch budowlany w tej epoce ożywił się jak nigdy przedtem. Przybywają znów nowe kościoły: pp. Wizytek, Bazylianów, św. Trójcy na Solcu, św. Andrzeja (dziś pn. Kanoniczek), kościółek na Woli, wykańczają się kościoły: św. Krzyża i Karmelitów (na



Widok z Kanonji.



Willa z ogrodem na jednej z południowych kolonji.

Lesznie), odbudowują się kościoły Augustjanów i Bernardynów. W tym czasie wznoszą się również pałace: Błękitny, Czapskich (później Krasińskich), Mniszchów, Radziwiłłowski i inne. A pałac Saski? Ogromny kompleks, choć dziś pomniejszony, jest zawsze dowodem iście

królewskiego gestu (przebudowany i rozszerzony z pałacu Bielińskich przez Jana Gotfrieda Knöbla). Warszawa uzyskuje za tego króla dwie nowe osie: jedna prowadzi od pałacu Saskiego na Wolę, druga od Zamku, przez Aleje Ujazdowskie i wzniesioną przez króla w 1732 r., dziś nieistniejącą, Kalwarię, do pałacu Ujazdowskiego. Powstają w tymże czasie pałace w stylu drezdeńskiego rokoka, jak np. Brühlowski.

August III nie uczynił już tyle dla Warszawy co ojciec. Dopiero król-esteta Stanisław August Poniatowski poczynił stolicy ukazywać szerokie perspektywy nowożytnego miasta. Buduje się nowe pałace i inne gmachy prywatne, a bezpośre-



Dachy Starej Warszawy widziane z wieży Zamkowej

Cale miasto zresztą nabiera również zabarwienia epoki. Przybywają znów nowe, obszerne pałace z rozległymi podjazdami. Następuje pewne jakby skamienienie pałaców, obok spalacowanych kamienic zaможniejszych mieszczan. W tym guście są pałace Tyszkiewiczów (dziś Potockich) na Krak. Przedm. Nr. 32 (dzieło Kamsetzera), pałac Teppera przy ulicy Miodowej 7 (dzieło

Schroegera), Małachowskich przy Senatorskiej 8 (dzieło Zuga) i pałac Prymasowski (dzieło Schroegera). Budownictwo kościelne również nie przestało się rozwijać. Stolica w tym czasie wzbogaciła się w nowe kościoły, jak Ewangelicki (projektu S. B. Zuga), OO. Bazyljanów (Merliniego), w fasadę kościoła OO. Karmelitów (Schroegera).

Wiek XIX zaznacza się rozwojem

Nowoczesny drapacz nieba na Placu Napoleona. (Fot. Poddębki).



Kościół Augustjanów.

dnią troską królewską otoczone są jego rezydencje: „Zamek” i „Łazienki”. Zamek w tym czasie otrzymuje w dużej mierze piętno Ludwika XVI-go o specjalnem, jak zwykle zresztą u nas, zabarwieniu miejscowem. Pałac Łazienkowski, który w swych wnętrzach nie zatracił charakteru swego pierwotnego założyciela Stanisława Herakliusza Lubomirskiego (koniec XVII w.), jak i przebudowy poprzedniej za Augusta II, miał zachować odtąd w swej architekturze zewnętrznej pewne piętno swego nowego protektora.



budownictwa użytecznego zarówno państwowego jak i municypalnego, noszącego piętno pojawiającego się klasycyzmu „warszawskiego”, którego zwiastunami byli już klasycyści w. XVIII Zug i Schroeger. Działają w tym czasie w Warszawie architekci tej miary, co Antonio Corrazzi, Piotr Aigner, Jakób Kubicki i Henryk Marconi. Dziełami ich są: fasada kościoła św. Anny, św. Aleksandra, pałac Namiesnikowski, Mennica, Obserwatorium (dzieła Aignera), Pałac Belwederski, domy rogatkowe (dzieła Kubickiego, ucznia Merliniego), gmach Tow. Przyjaciół Nauk, Teatr Wielki (dzieła A. Corazziego), przebudowa pałacu Pasa z nowowzniesioną bramą wjazdową, dziś Sąd Okręgowy (H. Marconiego).

Klasyceistyczne budownictwo wie-

ku XIX, zapatrzone w tradycję czasów Stanisławowskich, o wielkim rozmachu i pomysłach, nie tylko nadało Warszawie charakter nowoczesnego miasta, lecz stało się źródłem, którego soki nieraz i dzisiaj jeszcze zasilają pomysły architektoniczne.

Oblicze Warszawy, którą obserwujemy, zmienia się z dnia na dzień, ciągle się jeszcze nie mieszcząc w ciasnych ulicach z dnia wczorajszego, rozszerzając się przeto poza dotychczasowe centrum miejskie i tworząc w ten sposób całkiem nowe dzielnice na t. zw. „kolonjach” Żoliborza, Łubickiego, Staszycy, Mokotowa, Czerniakowa i Saskiej Kępy. O charakterze tych dzielnic trudno obecnie mówić inaczej, jak tylko ogólnie. Zabudo-

wania ich stanowią bądź małe domki oddzielne, lub grupowe, albo też wielkie bloki mieszkalne o jednostajnych gładkich elewacjach, ciągnących się nieraz na przestrzeni dochodzącej do 150 metrów. Ten nowy sposób budowania mówi nam o długim szeregu stuleci, jaki nas dzieli od Warszawy, mieszczącej się niegdyś w ramach Starego Miasta z domkami o trzykondygnacyjnych elewacjach. Obok kolonii, zabudowanych willami, w otoczeniu mniejszych, lub większych własnych, nieraz bardzo pięknych ogrodów, lub też domami czynszowymi, powstają gmachy państwowe, tak bardzo nowocześnie monumentalne, jak np. gmach Banku Gospodarstwa Krajowego, lub gmachy Ministerstwa Oświaty i Komunikacji.

Mieczysław Szymański.

Polacy Kanadyjcy

Co Polaków ciągnęło do emigracji do Kanady? Zda się, że początkowo wyłącznie praca na roli, która tu odbywa się prawie w tych samych warunkach klimatycznych co w Polsce.

Choć dziś na 150.000 Polaków, zamieszkujących Kanadę, zapewne dwie trzecie pochodzi z Małopolski, to jednak pierwszymi emigrantami z Ziemi Polskiej z przed lat trzydziestu byli Kaszubi z Pomorza. Osiedlili się oni o parę godzin jazdy koleją na północny zachód od stolicy Kanady — Ottawy.

Nie najwdzięczniejsza to była ziemia, ale piękna; ma łagodne wzgórza i jeziora, przypominała im ona ich rodzinne okolice i zgodnie z sentymentalną naturą polską, rządzącą się częściej uczuciem, niż chłodną kalkulacją, woleli ten zakątek od żyznych stepów dalekiego Zachodu. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności pierwsze na polskie osiedle nosi nazwę nie jakichś Kartuz czy Wejhe-

rowa, co byłoby naturalne, lecz Wilna, a stało się to znów przez sentyment. Oto przewodnikiem tych pionierów był ksiądz polski, rodem z Wilna. Że bardzo go czcili i wiele mu zawdzięczali, więc dla jego umiłowán rodzinnego miasta, nazwali pierwsze osiedle Wilnem. W ten sposób, na tej dalekiej od Polski ziemi odbyło się niejako symboliczne zjednoczenie dzielnic na dwadzieścia lat przed faktem historycznym.

Małopolanie zawsze byli znani w dawnej jeszcze Rzeczypospolitej, jako naród ruchliwy i łatwo emigrujący. To też, gdy liczne rzesze z dawnej Galicji i Łódzkiej wywędrowały do Kanady, szli oni już dalej na Zachód, w prerię, w stepy czarnoziemne które im przypominały ich Podole Galicyjskie. tam gdzie ziemi doskonałej było aż za wiele, którą dość było dotknąć pługiem, by rodziła pszenicę bez żadnych dalszych starań, a tem mniej nawozów.

Tak powstały znaczne osiedla polskie w prowincjach: Manitoby, Saskatchewanu i Alberty, lecz przeważnie w tej pierwszej.

Ale człowiek nie poto emigruje, by żył jako tako, tylko chce coraz lepiej. To też, gdy komu nie od razu poszczęściło się na roli, uciekał do miast, które rosły wówczas w szalonym tempie dzięki olbrzymim inwestycjom wielkich kapitałów angielskich i amerykańskich. Powstawał przemysł, dzięki coraz nowym odkryciom złoża mineralnych, które Kanada posiada w olbrzymiej ilości od A do Z, to jest od azbestu do złota.

Szczególniej szybko powstawały miasta w prowincji Ontario, najbogatszej w złoża, to też tu skupiali

się Polacy robotnicy i tu mamy teraz najliczniejsze kolonie polskie: w Toronto, Hamiltonie, Brantford, Kitchener, Welland London, Windsor i innych miastach, rozsiadanych na wybrzeżach wielkich jezior Erie i Ontario, w zasięgu wodospadu Niagary.

I tu znów wytworzyła się pewna „świątynia westchnień” polskich. Oto w okolicy Niagary leży miasteczko tej samej nazwy, nad jeziorem, jak morze wielkiem. Nazywa się



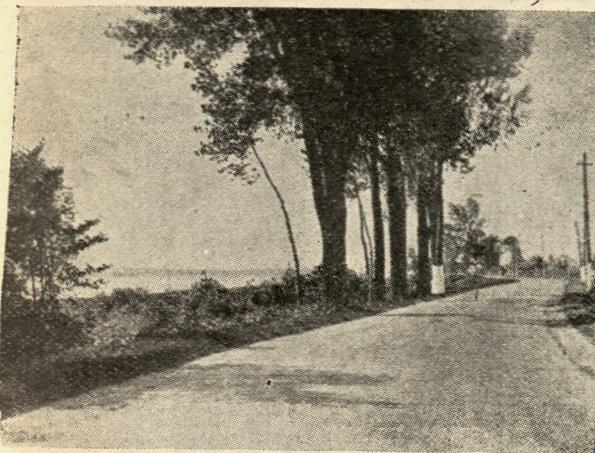
Wioska Świętej Agaty, w której mieszka dużo Polaków.

Niagara-on-the-Lake. Gdy wybuchła wielka wojna równo 20 lat temu, bardzo liczni Polacy-Amerykanie, powodowani niewygasłym patriotyzmem polskim, chcieli niezwłocznie jechać na pola Francji, by tam walczyć z Niemcami pod znakiem Orła Białego. Stany Zjednoczone nie były jednak wówczas jeszcze w stanie wojny z Niemcami, nie mogły więc pozwolić swoim obywatelom polskiego pochodzenia na masowy udział w wojnie. Rozumiejąc jednak ich uczucia, pozwoliły im na

Tow. Ubezpieczeń Sun Life w Montrealu, gdzie ubezpiecza się wielu z pośród naszych kanadyjskich rodaków.



wyjazd do Kanady, która jako dominium Brytyjskie sama wysyłała już swoje wojska na front aljancki. Kanada przyjęła więc gościnnie tych Polaków, zobozowała ich tu właśnie, w okolicach Niagary, dała im instruktorów i ćwiczyła tych ochotników, którzy potem wyjechali na front w szeregach Kanadyjczyków. Tymczasem wybuchła tam jakaś epidemia, która skosiła życie 28 ochotników. Leżą oni na tamtejszym cmentarzu, a choć nie polegli na polu chwały, to jednak zmarli w gotowości walki o Polskę. I dla-



Szosa z Montrealu do Quebec.

tego ten cmentarzyk polski w rocznicę ich śmierci, jest świadkiem wzruszających uroczystości, na które zjeżdża tysiące Polaków kanadyjskich i amerykańskich (jest to bowiem pogranicze), a w których biorą udział i władze miejscowe i polskie przedstawicielstwo.

Emigrowali z ziem polskich do Kanady małorolni i robotnicy, ludzie prości, niewyrobieni i niezamężni, to też organizowanie się ich szło powoli i trudno.

Trzeba też oddać cześć tym ludziom ciężkiej pracy, szczególnie kobietom, że w znoju i trudzie nie tylko nie zapomnieli Polski, ale małymi siłami, krok za krokiem posuwali się naprzód.

I dziś widzimy, że ta stosunkowo niewielka kolonia polska, rozsiąta po niezmiernych przestrzeniach, zbudowała 30 polskich kościołów katolickich, zorganizowała tyleż parafji, utworzyła kilkadziesiąt towarzystw, które pobudowały Domy Polskie, pozakładały szkoły, biblioteki, czytelnie, że towarzystwa te pielęgnują polską mowę, obyczaje, pieśń i muzykę, urządzają teatry amatorskie, obchody narodowe, wytworzyły zjednoczenie towarzystw polskich, a teraz biorą przez swoich delegatów udział w Światowym Zjeździe Polaków z Zagranicy dla zawiązania Światowej Organizacji.

Dawniejsi emigranci polscy doszli w Kanadzie do znacznej zamożno-

ści. Są między nimi nawet wcale bogaci ludzie. Oszczędności w bankach mają nieraz poważne, mieszają we własnych domach, posiadają oczywiście samochody i kształcą wyżej swoje dzieci. Niektórzy doszli do wielkich fortun. Gorzej się ma ostatnia emigracja, która trafiła już na początek kryzysu.

Wychodźstwo nasze w Kanadzie stworzyło też własną prasę. Dzienników jeszcze tam niema, ale są już trzy tygodniki.

Brak większej ilości ludzi wolnych zawodów, tak zwanej inteligencji, staje nieraz na przeszkodzie w wielu poczynaniach kulturalnych, ale sytuacja z roku na rok się polepsza.

Emigracja polska dała już Kanadzie paru wybitnych ludzi, a z nich na pierwszym miejscu wymienić należy nieżyjącego już Kazimierza Gzowskiego. Był on jeszcze emigrantem popowstaniowym, z zawodu



Okolice zamieszkałe przez Polaków.

inżynierem. On to wybudował pierwszy most stały na Niagarze. Stał się potem osobistością wybitną, to też królowa Wiktorja nadała mu tytuł Sir'a, a społeczeństwo uczciło go pięknym pomnikiem w parku Niagary.

Do niedawna Kanada była dla Polski krajem strasznie oddalonym. Dziś dzięki linii Gdynia—Ameryka, której okręty stają w Halifaksie, porcie Kanady, kontakt nasz z emigracją staje się łatwym, szybkim i coraz skuteczniejszym.

St. Koszarska-Olechowska.

W obozie harcerskim w parku Paderewskiego

Znaleźć go łatwo. Czerwone strzałki, umieszczone na drzewach, wskazują miejsce, gdzie znajduje się obozowisko ulubieńców Warszawy, harcerzy i harcerkę, przybyłych do Warszawy na Złot z zagranicy.

Chętnych oglądać obóz jest bardzo wielu. Szczególniej wśród młodzieży szkolnej. Tak bardzo chciałoby się porozmawiać z „Francuzami”, „Amerykanami”, „Niemcami”.

— Nie żadne Amerykany, ino Polacy — oburza się opalona, wesola harcerka z Detroit.

Na naszywkach szarych i brązowych ubrań harcerskich czytamy przynależność państwową małych gości. Ale zatracą się ona i ginie. We wszystkich serduszkach zapłonęło ukochanie tylko jednej, prawdziwej Ojczyzny!

Początkowo młodzież harcerska trzymała się grupkami. Nie znano się, nie ufano sobie wzajemnie. Było się niby w Polsce, a jednak czuło się obco.

— Nie wiem, jak to z nami tutaj będzie — zwierzyła się w swoim pamiętniku młodzieńca harcerka z Holandji.

Obcość ta jednak zatarła się bardzo szybko. W jednym namiocie umieszczono po kilka narodowości. Do każdej grupy przydzielono jedną „kuzynkę”, harcerkę z Polski. „Kuzynka” owa stała się nie tylko opiekunką swojej grupy, łącznikiem między poszczególnymi narodowościami, lecz otworzyła szeroko wrota przyjaźni i zaufania.

Początkowo trochę dąsali się „Amerykanie”, przyzwyczajeni do posługiwania się Murzynami, którzy

Wojewoda Grażyński zapala ognisko harcerskie na placu Marszałka Piłsudskiego.



rzy zazwyczaj rozstawiają namioty, spełniają liczne posługi. Z niedowierzaniem spoglądały na siebie, umieszczone w jednym namiocie „Austriaczki” i „Estonki”. Lecz wszelkie różnice zatarły się bardzo szybko.

— Początkowo dośmy gadały ino po niemiecku — zwierza się krępa dziewczynka z Górnego Śląska. — Zawdy dziwacznie było mówić po polsku...

Obcy język niezaadługo zgubił się w istnej wieży Babel różnorodnych akcentów polskich. Nikt nie nazywał kar za odzywianie się w obcym języku. Nikt nie *kazał* rozmawiać po polsku. Lecz nastrój, panujący w Obozie, *zmuszał* każdego do porozumiewania się w ojczystym języku. Nawet najmłodszy na Zlocie, 11-o letni harcerz z Węgier, obraził się, gdy ktoś przemówił do niego po węgiersku. A przecież słabo włada językiem polskim... Droga wzajemnego poznania, drogą zaprzyjaźnienia się, przysły ostatnie zapory. Zrodziła się przyjaźń, jedność, przypieczętowana zamianą odznak, t. zw. „change”.

— Change — mówi „francuzka” do harcerki z Warszawy.

Zamieniają się odznakami, kokardami, wstążkami, krawatami.

— Change — prosi śliczna „Czechosłowaczka”, podchodząc do mnie.

Jestem zakłopotana. Nie mam nic, cobym jej mogła dać. Więc obiecują przysłać numer „Bluszczu”.

— Jak to ładnie! — radują się dziewczęta. — Same przeczytamy i damy innym. Brakuje nam zawsze polskich gazet...

Tak wesoło i radośnie jest w Obozie. Harcerki z Ameryki, z Francji, Niemiec, Danji, Estonji, Warszawy czują się siostrami!

Wchodzimy do świetlicy dziewcząt. Na stołach leżą pisma i książki. W wazonikach uśmiechają się kwiaty. Kawalek wstążki, serwetka nadają świetlicy miły i kobiecy wygląd.

— Pokażę pani najładniejszy namiot — proponuje druh Lipiński.

Zdała domyślam się, że najładniejszy namiot posiada „Czechosłowaczka”. Operując prymitywnymi środkami, harcerki zbudowały z sienników kanapę, na której położyły kilka poduszek, owiniętych w barne płaszcze kąpielowe, wzorzyste chustki. Na ziemi postawiły wazoniki z kwiatami.

— Czy dobrze wam tutaj? — pytam „Estonek”.

— Nie wiedziałam, że może być tak cudownie — odpowiada młoda dziewczynka z silnym, rosyjskim akcentem. — A jak była rewja, to już sama nie wiem, co się ze mną działo!

Rewja zapisała się złotymi zgłoskami w sercu wszystkich dzieci. Rewja na polu Mokotowskim, symbol siły militarnej Polski, stała się dla nich jednoznaczna z wielkością ojczyzny, której wielu dotąd nie znało...

Rozlewanie zupy.



W obozowisku harcerek.

— Opowiem wszystko w domu. Toż się bandom dziwowali! — wzdycha harcerka z Górnego Śląska.

Dziewczęta zachwycają się Warszawą. Że jest ładniejsza niż Berlin, sympatyczniejsza od miast amerykańskich, większa od Kopenhagi, tańsza niż Londyn...

— Bo swoja — zauważa z dumą mała „Austriaczka”, mówiąca słabo po polsku.

— Mówiła gorzej, gdy przyjechała — objaśnia mnie druh Lipiński — ale jak ją nasze „kuzynki” wzięły w obroty, nauczyła się mówić po naszemu!

Zatrzymuję się przed każdym namiotem. Nie chce mi się rozstać z drobnymi postaciami w szarych i brązowych ubrankach. Lecz druh mnie nagli. Mamy jeszcze obejrzyć namiot Czerwonego Krzyża, kuchnię, sklepik...

Zaczynamy od kuchni. Gotują kucharki wojskowe, ale piecza nad całym gospodarstwem leży w rękach harcerstwa.

— Urodzonego w kraju — tłumaczy mój przewodnik. — Nie chcemy męczyć naszych kochanych gości...

Namiot Czerwonego Krzyża jest pusty. Jednakże siostra ma wiele do roboty. Ktoś rozbija sobie nos, inny stłucze kolano. Zdarzył się nawet wypadek grypy... Również pusto jest w sklepiku. Tylko woda sodowa i lemoniada cieszą się powodzeniem.

— Tyle nam dają jeść, że nie ma miejsca na smakołyki ze sklepiku — śmieje się mój przewodnik. — Chyba, że goście przyjdą. Przyjmujemy ich tylko po południu, bo cały dzień mamy bardzo zajęty. Kilka godzin poświęcamy na zwiedzanie Warszawy, a wieczorem rozpalamy Ognisko.

Właśnie Ognisko.

Byłam wieczorem na placu Marszałka, gdy zapłonęło wielkie, harcerskie Ognisko. Wielu harcerzy przybyło z parku Paderewskiego już z walizkami, bo po skończonej uroczystości mieli udać się wprost na dworzec kolejowy. Usiedli wokoło sosnowego stosu, a gdy wojewoda Grażyński, naczelny druh harcerstwa polskiego zapalił stos, rozległo się harcerskie pozdrowienie „Czuwaj”, które odbiło się głośnie echem w sercu całej Polski.

Stos, płonący na placu Marszałka Piłsudskiego, przypieczętował jedność i wspólnotę uczuć dzieci polskich, urodzonych na całym świecie. W wieczornej ciszy płynął hymn narodowy i piosenki harcerskie.

Wrócą do domu mali harcerze i młodociane harcerki. Wrócą z duszą rozśpiewaną polskiem Jamboree, z sercem, przesiąkniętym miłością do ich prawdziwej ojczyzny, z głębokim przeświadczeniem, że ich prawdziwa ojczyzna, to nie ta, którą wyhaftowano na naszywkach na rękawach, lecz ta, której ślubowały podniesieniem ręki wierność i miłość na placu Marszałka Piłsudskiego!

St. Osińska.

Z ubiegłego tygodnia

„Niemcy nie chcą wojny”. — Ale kwestja austriacka!... — Opieka Mussolini'ego. — Otto Habsburg czeka. — Daleki Wschód groźniejszy. — O kolej wschodnio-chińską.

„Niemcy nigdy nie będą prowadziły wojny” — powiedział Hitler. Powiedział też, że Niemcy nie chcą kolonii swoich spowrotem, bo takie kolonie to dziś tylko „kłopot”, że pakt nieagresji z Polską uregulował zagadnienie granic wschodnich, a plebiscyt w Saarze niewątpliwie uporządkuje granice zachodnie. Natomiast zagadnienie austriackie, tak bardzo dziś zapalne, jest — zdaniem Hitlera — problemem uczuć narodowych Niemców austriackich.

Jeżeliby więc brać dosłownie enuncjację Hitlera — Austria jest właśnie niebezpiecznym czynnikiem dla pokoju Europy. Przy sprawie austriackiej krząta się zresztą Mussolini, a wizyta austriackiego wicekanclerza Stahrenberga w Rzymie wywołuje różne komentarze. Chronologiczny porządek tych komentarzy jest następujący: 1) Stahrenberg przygotowuje w Rzymie wizytę następcy Dollfussa, Schuschnigga, który podobno przybędzie do Rzymu w początkach września, 2) Stahrenberg rozmawiał z Mussolinim na temat — restauracji Habsburgów, 3) omawiał z Mussolinim sposoby skutecznego zwalczania w Austrii ruchów rewolucyjnych.

Trzecia pozycja tych rozmów jest najbardziej aktualna. Chodzi mianowicie o stworzenie na wzór faszystowski specjalnej organizacji t. zw. „Opera di Vigilanza”, której celem byłoby sparaliżowanie ruchów terrorystycznych, wykrywanie tajnych składów broni i materiałów wybuchowych.

Natomiast sprawa powrotu Habsburgów na tron austriacki nabiera w ostatnich czasach coraz więcej prawdopodobieństwa. Nawet w prasie francuskiej pojawiają się już artykuły, omawiające ustepliwość Małej Ententy. Chodzi bowiem o niezawisłość Austrii, dla której restauracja Habsburgów byłaby wskazana. Podróżujący teraz po krajach skandynawskich pretendent do tronu austriackiego, syn ostatniego cesarza Austrii Karola i Zyty Parmeńskiej — arcyksiążę Otto czeka więc może niecierpliwie zaproszenia na tron... Czy mocarstwa zgodzą się na tę ryzykowną decyzję, aby stało się zadość staremu hymnowi Austrii: „Bo z Habsburgów tronem złączon jest na wieki Austrii los” — pokaże najbliższa przyszłość. Raczej należy jednak przypuszczać, że protekcja Mussolini'ego wskaże Austrii inne metody obrony niepodległości.

Jeżeli jednak w Europie burza o Austrię zapowiada się na chroniczną niepogodę, to chroniczne już zaburzenia na Dalekim Wschodzie — grożą burzą nie bylejaką. Chodzi tu o „ostatnią kroplę” w przepelnionym dzbanie, o kolej wschodnio-chińską. Prasa sowiecka przygotowuje opinię publiczną, zapowiadając konfiskatę tej kolei przez Japonję. Odpowiednikami tych alarmujących wiadomości jest oświadcze-

nie japońskiego ministra marynarki Osumi, że naród japoński musi zapewnić sobie bezpieczeństwo i skuteczność swojej obrony, zaczem musi też zwolnić się ze wszystkich jednostronnych zobowiązań traktatowych. Nie poraz pierwszy przemawia się tam na Wschodzie ostreimi słowami, ale zważyć trzeba, że sprawa kolei wschodnio-chińskiej to już nie słowa same, ale casus belli między Sowietami a Japonją. I jeszcze jedno: jeżeli tu w Europie zbroją się państwa „jeszcze” nie chcą wojny, to tam Japonja swoje zagadnienia terytorjalne nie inaczej, a tylko wojną może rozstrzygać. Ocean Spokojny — niepokoi się już oddawna.

H. N.

Z teatrów

„Klub Kawalerów” Bałuckiego w teatrze Narodowym.

Są sztuki, nawet z tak zwanego lekkiego repertuaru, które, nie będąc arcydziełami, obrastają po latach tą stylową patyną, która podnosi ich cenę do wartości zażytku. Są inne, dla których dystans epoki stanowi próbę zabójczą. Nieubłagany sędzia i sprawdzianem urody jest czas. Wyolbrzymia każdą skazę i zmarszczkę, deformuje rysy, demaskuje ukrytą wulgarność.

Jego wyrok na „Klub kawalerów” jest poprostu druzgoczący. Nie z powodu kołtuństwa środowiska, jakie autor przedstawia, ale ze względu na solidaryzującą się z niemi postawę autora. Między autorem a środowiskiem niema żadnego dystansu. Są jednym i tem samem ciałem. Komizm Bałuckiego graniczy z rozczuleniem. Niema w sobie ani krzty satyry, ani odrobiny krytyki. Ten maleńki kociołek, w którym odbywa się wielkie pranie drobnych rodzinnych i towarzyskich intryg, ten horyzont teatru amatorskiego dla zacnych mieszczańskich rodzin wystarcza mu najzupełniej.

I to jest właśnie w tym beztróskim, od ucha do ucha roześmianym „Klubie kawalerów” (tak samo zresztą, jak w innych komediach Bałuckiego) przerażające, że są one dokumentem najzupełniejszego braku aspiracji — i środowiska i autora.

To samo kołtuństwo obyczajowe było — w nie wiele lat później, terenem operacyjnym Zapolskiej. Ale ona z całą bezwzględnością i żarliwością prokuratora społecznego wytoczyła mu proces. Jej „Moralność Pani Dulskiej”, jej „Panna Maliczewska” to nie tylko dzieła artyzmu, to akty oskarżenia.

U Bałuckiego ta sama rzeczywistość ma pozory sielanki. Nie wyrastał ponad jej poziom, brał ją na serjo, wciągał z rozkoszą w nozdrza jej zaduch, który dziś przyprawia nas o mdłości. Śmiał się szeroko, płytko i szczerze, nie z ideologii i atmosfery kołtuństwa, która była jego ulubionym klimatem, ale z figlów sytuacyjnych, jakie w swoich komediach płał wyimaginowanemu kołtunom ku uciesze prawdziwych.

Bałucki był prawem dzieckiem najgłębiej w szablonową a obowiązującą brzydotę pogrzebanej epoki, epoki chorej na elephantiasis gipsowych „wenusów”, pluszowych mebli i portjer, sztucznych palm, bambusowych stoliczków, japońskich pa-

rawanów, papierowych wachlarzy i parasoli, patarafek i szyfonierek, albumów z fotografiami przodków, ciotek znajomych radców, całej tej ohydy, która składała się na wnętrze mieszczańskiego czy inteligentkiego salonu z fin de siecle'u.

Jego komedje są tego salonu niezbędnym rekwizytem: sklepieniem humoru. Jedynym niebem, do którego wznosiły się stęsknione oczy kołtunów, troskliwe ochraniane od światła przez gęste firanki i zaludnione molami portjery.

Ponura beznadziejna epoka skazana chyba bezapelacyjnie na wiekiistą bezstylowość.

Od tej organicznej predyspozycji starali się ją uratować obecni inscenizatorzy „Klubu kawalerów” zapomocą sztucznej transfuzji krwi. Oto cofnięto akcję sztuki o dwadzieścia lat wstecz, w okres lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, epokę turniur, które, pomimo swej śmieszności stały się stylem.

Kostjmy Węgierkowej, zaczerpnięte ze starych roczników „Bluszczu” stały się obok gry pierwszorzędnym aktorów, skrepowanych powijkami „amatorskich” raczej niż autorskich możliwości, — główną atrakcją widowiska. Węgrzyn z odwiecznego typu niedojdy stworzył nawskroś nowoczesny kompleks nieśmiałości seksualnej. Janecka jako swatka z powołania była cudem groteski, Cwiklińska jak zwykle finiezyjna w roli „pseudo-wdówki”. Rolę „pierwszej naiwnej” z wdziękiem i swobodą odegrała Nina Świerczewska, której młody talent coraz piękniej się rozwija. Jednem słowem teatr zrobił wszystko, żeby odmłodzić Bałuckiego. Czy gra warta świeczki? Bo niestety, tandeta pozostała tandetą...

S. P. O.

Świerczewska, Cwiklińska i Roland w „Klubie kawalerów”.



Zamknięcie Igrzysk Emigracyjnych

We środę, dnia 8-go sierpnia zakończyło się spotkanie reprezentacji Polski i Emigracji, oczekiwane z wielkiem zainteresowaniem uczuciowym i sportowym. Na stadionie nastrój świąteczny. Wspaniała pogoda, sprawna organizacja zawodów nadaje polskiej Olimpiadzie świetne ramy. Nawprost trybun widnieje olbrzymi rozpięty symbolicznie na dwóch półkulach biały orzeł. Wszędzie powiewają barwne flagi. Sześciotysięczny tłum, zgromadzony na trybunach, oklaskuje zwycięzców frenetycznie, nierzadko objawiając swą żywiołową radość głośnie tupaniem. Wogóle nastrój jest wyjątkowo gorący, jak na nasze stosunki. Przyczyniają się niewątpliwie do tego widzowie Polonji zagranicznej, którzy gwizdzą przeraźliwie, demonstrując swe uznanie zwyczajem amerykańskim i dopingują swoich zawodników gwałtownymi okrzykami. Wszyscy się cieszą bez względu na to, kto zwycięża: kraj, czy emigracja, przecież to wszystko swoi! W czasie rekordowego biegu sztafety olimpijskiej, którym Polska ostatecznie przypieczętowała swe wysokie w ogólnej punktacji zwycięstwo nad Emigracją, tańsze trybuny, zwykle hałaśliwsze, poprostu wyją!

Następują piękne przemówienia pożegnalne. Mamy nadzieję zobaczyć naszych zagranicznych sportowców za lat pięć na następnych Igrzyskach, które bez wątpienia będą stać na jeszcze wyższym poziomie sportowym. Pan marszałek Raczkiewicz z miłym uśmiechem wręcza nagrody zwycięzcom. Nagrody indywidualne zdobywają:

Lekka atletyka: Wąsowicz (U. S. A.) za skok o tyczce 4 m. 08, skok, jakiego Warszawa jeszcze nie oglądała, a lepszy od rekordów europejskich. Nagroda indywidualna pań przypada w udziale oczywiście Walasiewiczównie za piękny wynik na 200 m.: 24,5s, który potwierdził jej całkowity powrót do formy przed Igrzyskami w Londynie.

Kolarstwo: doskonały Praczyk za wynik 3:06:17,2 na 100 km.

Pływanie: nadzieja Ameryki na Olimpiadę, wspaniały Chrostowski, który zaimponował Warszawie czasem 1:00,4s. na 100 m., równym rekordowi polskiemu, oraz pobiciem na głowę sztafety Gdańskiej i Rumuńskiej na dystansie 500 m. stylem zmiennym, na którym to dystansie jest on rekordzistą Ameryki.

I wreszcie w boksie nagrodę zdobywa Puchniak z Kanady za piękną walkę ze Stachowiakiem.

Po wręczeniu nagród — defilada. Orkiestra gra marsza, publiczność stojąc oklaskuje zawodników. Białe kostjomy, niebieskie berety i czerwone krawaty tworzą wraz z zielenią stadjonu i błękitem nieba barwny akord końcowy pięknie pomyślanej imprezy. Z pewnością zawodnikom Polonji zagranicznej pozostaną niezatarte wspomnienia z tej uroczystości, zorganizowanej sprawnie, a przytem owianej zupełnie wyjątkową atmosferą serdeczności i braterstwa.

Igrzyska cel swój w zupełności osiągnęły: były wspaniałą manifestacją jedności polskich sportowców, rozrzuconych po całym świecie i łączności ich z Macierzą, a niewątpliwie staną się silną podniecią do pracy nad dalszym rozwojem sportu naszego zagranicą.

A teraz przyjrzyjmy się nieco wynikom technicznym zawodów Emigracji. Mistrzostwo Emigracji oraz Puchar P. Prezydenta Rzecz. zdobywa ostatecznie Francja (35 pkt.) przed Gdańskiem (34) i Czechosłowacją (27). W poszczególnych konkurencjach kolejność była następująca: lekka atletyka: Ameryka przed Czechosłowacją i Gdańskiem. Piłka nożna: Czechosłowacja przed Niemcami. Pływanie: Ameryka przed Gdańskiem. Boks: Francja przed Gdańskiem. Kolarstwo: Francja przed Belgją. Koszykówka: Francja przed Gdańskiem i wreszcie siatkówka: Czechosłowacja przed Gdańskiem.

W walce reprezentacji Polski z reprezentacją Polonji zagranicznej, kraj wygrywa mecz lekkoatletyczny w stosunku punktów 80 : 50. Ciekawe spotkanie piłkarskie ro-

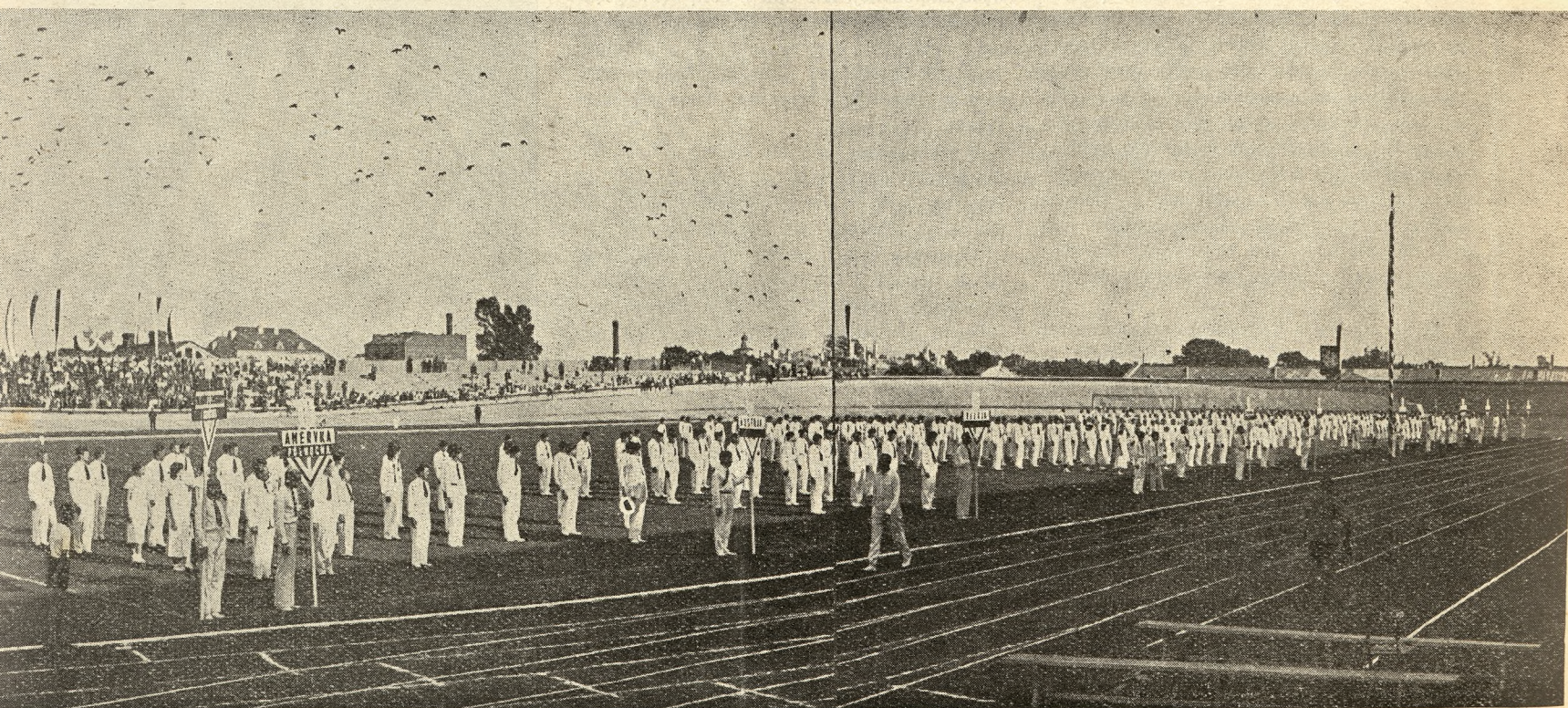
zegrane w ostatnim dniu Igrzysk dało wynik 3 : 0 dla repr. krajowej. Walki pięściarskie, podobnie jak i gry sportowe, orzyniosły zwycięstwo gospodarzom nad gośćmi. Jakkolwiek ogólny wynik wypadł na naszą korzyść, to jednak w niektórych konkurencjach, jak boks, lekka atletyka i pływanie, zwycięstwo było często wywalzone z trudem, a i tam, gdzie zawodnicy zagraniczni reprezentowali klasę światową, zdobyli oni pierwsze miejsca. Naogół stwierdzić należy wielką nierówność poziomu sportowego wśród przyjezdnych zawodników, gdzie spotykaliśmy często, obok ekstraklasy, zawodników stawiających jakby pierwsze kroki na boisku. Zawiodły zwłaszcza panie, szczególnie reprezentacja z Ameryki z Przybylską na czele.

Faktem jest jednakże, że zrzeszenia emigracyjne sportowe rozwijają na obczyźnie coraz szerszą działalność i mogą się poszczycić wynikami organizacyjnymi, a często i sportowymi, bądź zasilając reprezentacyjne drużyny swej przybranej ojczyzny, bądź, nierzadko, zdobywając zespołowe lub indywidualne mistrzostwa w różnych dziedzinach.

W tej wielkiej sierpniowej imprezie sportowej, jaką były Igrzyska Emigracji nie chodziło specjalnie o wyniki. Ważnem natomiast było, że sportowcy Polonji zagranicznej zbliżyli się i zbratali w szlachetnej walce na boisku polskiem w sercu ojczyzny, a przytem zmierzili swe siły i poznali swój poziom, zyskując w ten sposób realne wskazania dla dalszej pracy sportowej na obczyźnie.

Na piękny stadion Wojska Polskiego zawodnicy polscy ze wszystkich stron świata wnieśli zgodnie piękną atmosferę fair play'u, ducha ciężkiej i sportowej ofiarności, a za cnoty te publiczność warszawska zgotowała im gorącą pożegnalną owację, która z pewnością będzie im zachętą w przygotowaniu się do następnych Igrzysk w Warszawie.

Irena Parnska.



Otwarcie Igrzysk Polonji Zagranicznej na Stadionie Wojska Polskiego.

Konferencja kobiet na II Zjeździe Polaków z Ameryki

W wywiadzie z p. Lucją Kipową p. t. „Kobiety na II Zjeździe Polaków z Zagranicy” zamieszczonym w Nr. 31 „Bluszczu”, poinformowaliśmy nasze Czytelniczki, o projektowanym zakresie i celu konferencji kobiecej, która stanowiła drobny odłam ogólnych prac zjazdowych, a jak się okazało w praktyce, przyniosła dużo cennego materiału rzucającego nowe światło na sprawy emigracji z punktu widzenia środowisk terenowych.

Do pracy zgłosiło się 71 delegatek i rzeczoznawczyń. W skład prezydium konferencji weszły panie: jako przewodnicząca Marja Kryszakowa (Stany Zjednoczone), jako zastępczyni: Ł. Kipowa (kraj) i Z. Reliksowa (Czechosłowacja), jako sekretarka Bednarczykowa (Niemcy).

Zebrań powitał wiceprezes Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy dr. Br. Hełczyński, wyrażając kobietom-Polkom najgłębszą cześć i wdzięczność za to, że ich wysiłki przyczyniły się w dużej mierze do zachowania odrębności narodowej 8 milionów Polaków na obczyźnie.

Przewodnicząca konferencji p. Marja Kryszakowa, znana już Czytelniczkom „Bluszczu” z zamieszczonego z nią w Nr. 31 wywiadu, rozpoczęła posiedzenie modlitwą, zwyczajem stowarzyszeń kobiecych na wychodźstwie.

Właściwe obrady poprzedził referat informacyjny p. Wandy Pełczyńskiej p. t. „Udział kobiet w zdobyciu Niepodległości Polski”.

Dyskusję na temat „Wytyczne działalności polskich organizacji kobiecych zagranicą w kierunku społecznym, obywatelskim i narodowym” zainicjowała posłanka M. Jaworska sumiennie opracowanym, przejrzystym i budowanym i doskonale wygłoszonym referatem, który zawierał program działalności kobiet zagranicą i spotkał się z żywym uznaniem obecnych.

Zwłaszcza trafne i pełne przekonującej prostoty ujęciem odznaczało się sformułowanie określenia: uświadomienie obywatelskie i postawa obywatelska.

Dla ogarnięcia życiem organizacyjnym najszerszych mas kobiecych należy skupiać je w samodzielnych organizacjach kobiecych. Drogą szerzenia wychowania obywatelskiego i urobienia postawy obywatelskiej winny organizacje kobiece dążyć do wytworzenia aktywnego stosunku do spraw polskich, wdrażając masy do zbiorowego współżycia, w szczególności do stopniowego przekształcania szeroko rozwiniętej działalności filantropijnej na nowoczesnie pojętą służbę społeczną.

Stosunek kobiet polskich do religii daje pełną gwarancję, że uczucia religijne jednostek znajdują zawsze poszanowanie, będąc równocześnie czynnikiem pogłębiającym i utwierdzającym uczucia narodowe.

Obywatelka polska na obczyźnie musi mieć poczucie swej pełnowartościowości.

Najlepszą, poglądową szkołą wychowawczą będą dla niej wycieczki do Polski. A potem praca świetlicowa pod kierunkiem

wyszkolonych w kraju przewodniczek i biblioteki.

Nastąpiły referaty delegatek poszczególnych terenów, kolejno wedle liczebności reprezentowanych skupisk. P. Marja Kryszakowa zdała sprawę z działalności Związku Polek. Jej sprawozdanie uzupełniła p. Jadwiga Marcinowska znana poetka, obecnie od kilku lat działaczka na terenie Polonji Amerykańskiej, cennymi obserwacjami nadtem, jak nasze uchodźstwo aklimatyzuje się na obcym gruncie i jak walczy z wynarodowieniem.

Przy sprzyjających warunkach Polka potęguje swe zalety wrodzone — pracowitość i tężyźny, upodabniając się w przedsięwzięciach do Amerykanek. Naogół Ameryka dodatnio wpływa na kobiety, wyrabiając w nich, samodzielność i zmysł organizacyjny.

Następnie mówczynie podkreśla odrębność warunków politycznych bytu emigrantów polskich wśród narodu amerykańskiego, który rodzi się z kilkudziesięciu grup etnicznych.

Fakt Niepodległości zmienia życie Polonji amerykańskiej do gruntu. Ci, którzy swej polskości zapierali się lub żenowali, dziś głośno ją proklamują. Więcej: ruch polonizacyjny postępuje jeśli tak można się wyrazić wstecz. W młodym pokoleniu, zamerykanizowanym w przekonaniach i języku, budzą się samorządnie zainteresowania Polską. Ci, co nie mówią już po polsku, piszą po angielsku o Polsce, najmłodsza Polonia ma sporą plejadę artystów i dziennikarzy.

Tym „Rozluckim” kraj musi dopomóc, bo oni kryją cenny materiał ludzki. Książek! Książek polskich.

Delegatka Francji, p. Anna de Gontaut-Biron; Czechosłowacji — p. Zofja Feliksowa; Kanady wschodniej — p. J. Radziszewska i Kanady Zachodniej — p. M. Kalamarzówna, zdały sprawę z pracy terenowej zastanawiały się nad kierunkami, w jakich dalsza ich działalność rozwijać się powinna.

W dniu 8 b. m. w godzinach przedpołudniowych odbyła drugie plenarne posiedzenie Konferencji Kobiet Polskich z Zagranicy.

W dalszym ciągu dyskusji o warunkach pracy na poszczególnych terenach przemawiały pp. H. Knauffowa (Rumunja), L. Kowalewska (Argentyna), M. Browarczykówna (Belgia) i Szczepaniakowa (Niemcy), przyczem ta ostatnia mówiła specjalnie o mniejszości polskiej na Śląsku niemieckim.

Po referatach wywiązała się niezmiernie ożywiona dyskusja na temat potrzeb poszczególnych terenów. W dyskusji wzięło udział 16 uczestniczek Konferencji. Poruszono sprawy: współpracy kobiet z młodzieżą, zrzeszania kobiet w organizacjach społecznych i in. Referatka posł. Jaworska zreasumowała przebieg dyskusji oraz najważniejsze jej momenty jak: 1) zachowanie odrębności organizacji kobiecych,

GALMANIN
KARPINSKIEGO

jest
nieodzownym
środkiem do
pielegnowania
ciała a w szczególności nóg.



2) udział w organizacjach miejscowych w związku z kwestją obywatelstwa, 3) wychowanie młodego pokolenia.

Następny referat „Współpraca kobiet polskich zagranicą z Macierzą” wygłosiła p. Lucja Kipowa. Obudził on niezmiernie żywe zainteresowanie. W toku dyskusji krótkie wyjaśnienie w sprawie opieki nad dziewczętami dała p. Raymond, inspektorka rolna we Francji.

Następnie przyjęto przez aklamację wnioski w sprawie wytycznych działalności organizacji kobiecych polskich zagranicą, które winny — zdaniem Konferencji — zachować odrębność, co nie wyklucza udziału kobiet w życiu ogólnym. Dalsze punkty rezolucji mówią o poszanowaniu i pielęgnowaniu ducha narodowego przez kobiety polskie na obczyźnie i o wychowawczej roli, jaką winny spełniać zrzeszenia kobiece, roztaczając w pierwszym rzędzie opiekę nad organizacjami młodzieżowymi.

Druga uchwała dotyczy utworzenia przy Światowym Związku Polaków z Zagranicy stałego działu kobiecego, jako łącznika między polskimi organizacjami kobiecymi w kraju a takimiż organizacjami zagranicą.

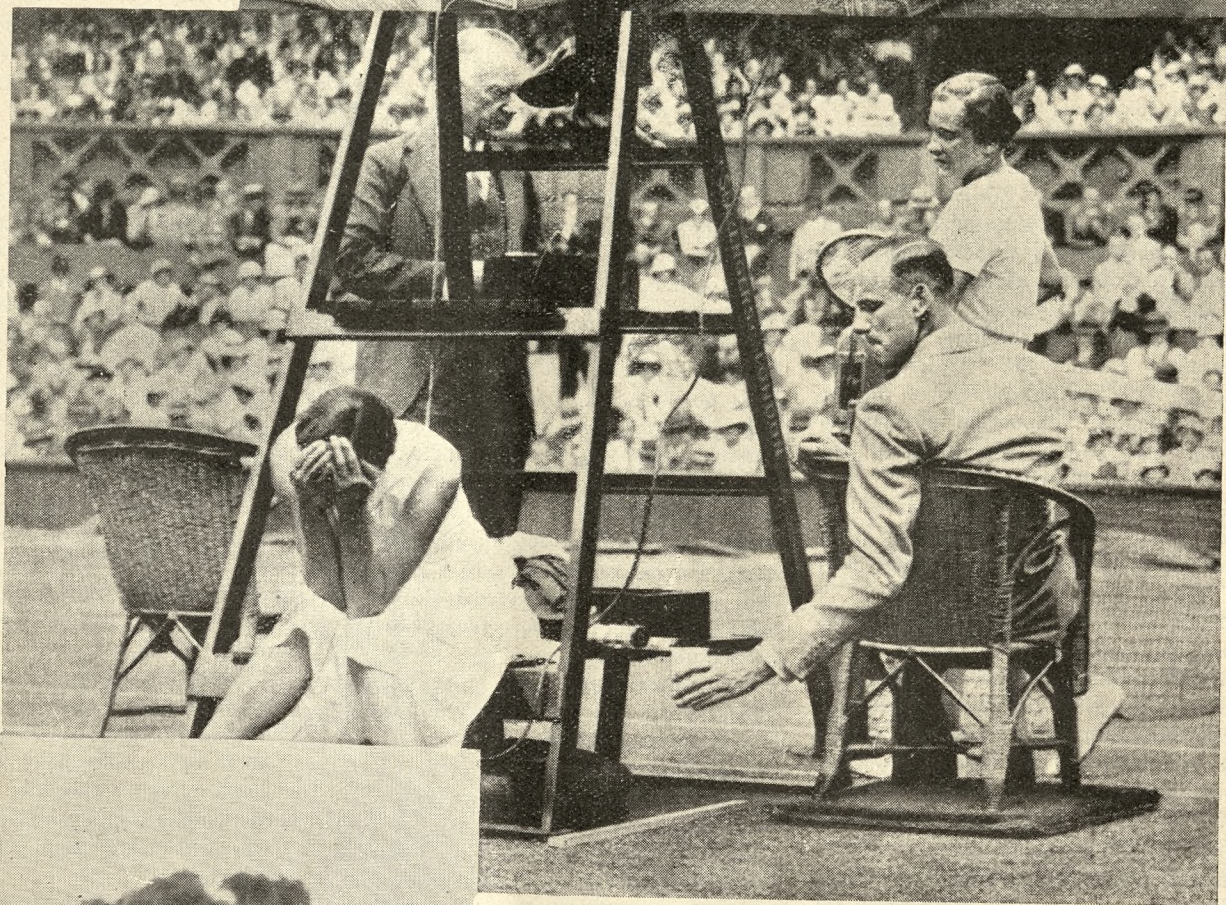
Następnie dla uczczenia pamięci wielkiej uczzonej polskiej, ś. p. Marji Curie-Skłodowskiej postanowiono urządzić na wszystkich reprezentowanych przez uczestniczki Konferencji terenach akademje oraz uchwalono wyrazić hołd dla p. Marszałkowej Piłsudskiej i p. Prezydentowej Mościckiej.

Po złożeniu serdecznego podziękowania Prezydium zabrał głos wiceprezes Rady Organizacyjnej Pol. z Zagr., mjr. dypl. M. Fularski, wyrażając przekonanie, że obecna Konferencja stanie się podstawą przyszłej pracy międzystowarzyszeniowej kobiet polskich w kraju i zagranicą.

Ta pierwsza konferencja kobiet polskich z zagranicy, jakkolwiek odbywająca się w bardzo szczupłych ramach i nie wyczerpująca dostatecznie olbrzymiego materiału zarówno już dokonanej i dokonywanej się pracy kobiet na emigracji, jak i życiowych doświadczeń i obserwacji zgromadzonych działaczek, osiągnęła swój cel o tyle, że wykazała konieczność stworzenia stałej centrali, skupiającej te rozproszone najczęściej „syzyfowe prace” rozmaitych bezimiennych nieraz „silaczek” i umożliwiającej im planową jednolitą działalność w stałym kontakcie z Macierzą.

Stworzenia tej placówki w ramach Światowego Związku Polaków oczekujemy z niecierpliwością w najbliższej przyszłości.
S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu



JAPOŃSKA SZKOŁA GRY NA HARFIE.

Na zdjęciu widzimy japońskie dziewczęta, studjujące kunszt gry na oryginalnych leżących harfach, pod kierunkiem nauczycielki, która cały dzień dyryguje wyciągniętymi rękami.

PO PRZEGRANEJ.

Oryginalne zdjęcie angielskiej mistrzyni tenisa miss Dorothy Round, płaczącej po przegranej grze z amerykańką Heleną Jacobs, w Wimbledon.

Obok siedzi Mr. M. D. Horn, sędzia, który napróżno stara się ją pocieszyć.

MISTRZYNI SKOKU W KONNEJ JEŹDZIE.

Pani Irmgard von Opel na niemieckim Derby w Hamburgu pobiła wszystkich najlepszych jeźdźców niemieckich, skacząc na ogierze Nanuk. Dzielnego wierzchowca uwieńczono girlandą z liści dębowych.

CHIŃSKI KAPELUSZ TO OSTATNI KRZYK MODY.

Na wyścigach w Ascot budziły sensację chińskie kapelusze na głowach elegantek.



DOKOŁA EUROPY NA ROWERZE.

Dwie młode panny, Lili Sergiejew i Genowefa d'Andreies, wybrały się w podróż z Paryża do Berlina, Pragi, Budapesztu, Belgradu i Rzymu.

Na zdjęciu start dwóch dzielnych rowerzystek w Paryżu.

DWULETNIA PODRÓŻNICZKA I ŁOWCZYNI.

Dwuletnia Dawn Fletcher jest chyba jedynym na świecie białym dzieckiem, które mając 20 miesięcy, brało udział ze swymi rodzicami w t. zw. „wielkich łowach” afrykańskich i przewędrowało tysiące mil podzwrotnikowej dżungli. Na zdjęciu widzimy epilog następującej sceny myśliwskiej. Mała Dawn stała za swoim ojcem, w chwili, gdy ten dał strzał do atakującego ich nosorożca. Zwierzę znajdowało się wówczas w odległości zaledwie kilku metrów, zatem i ojcu i dziecku groziło poważne niebezpieczeństwo.



Kącik radiowy

*Paweł i Gaweł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gaweł na dole;
Paweł spokojny, nie radził nikomu,
Gaweł miał — głośnik...*

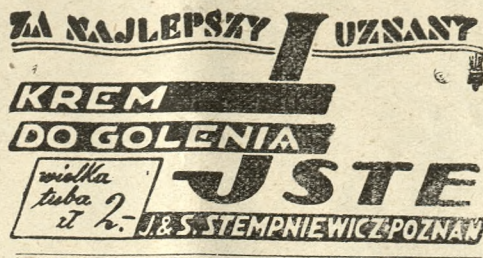
I od tego możnaby z miejsca rozpocząć feljton o niesłusznych narzekaniach lokatorów na radio.

Już sama bajka o Pawle i Gawle dowodzi wyraźnie, że dawniej działało się sąsiadom znacznie gorzej. Taki Gaweł kozły sobie fikał, a Paweł zabawiał się też niezgorzej. Wodą zatapiał pokój i ryby łowił wędką, siedząc na komodzie. Wszystko to musieli cierpliwie znosić kamienicznicy.

To też twierdzenie, że kiedyś, dawniej było lepiej, nikogo nie przekonuje. Przecież z dawnych, dobrych czasów też ludzie powoływali się na minione lata. Gdybyśmy w ten sposób szli za głosem westchnień, trzeba byłoby wreszcie ideału szukać w zupełnym zacofaniu i społeczeństwo należałoby nawrócić do epoki jaskiniowej.

Każdy dom cierpi zresztą z zasady na jakąś historyczną historję. Ustalając tę ddiagnozę według jego tętna, szmerów czy też hałasów organicznych, mamy przytem do czynienia z psychozą zbiorową lokatorów. Narzekania na radio świadczą tu poprostu o przedziwnym stetycyzmie ludzkiej pamięci. Bo jak wreszcie było naprawdę za czasów Pawła i Gawła?

Usiadła jakaś Andzia lub Tadzio do pianina i dom cały zgrzytał zębami. Ludziom uszy wiodły. Wszyscy sobie palce łamali nad ich „palcówkami”. Niejeden lokator rzucił butem o ścianę. I to też nie pomagało. Każdy dom musiał mieć taką Andzię lub Tadzia.



W tej symfonji podwórzowej radiowe głośniki są bodaj pierwszym oddźwiękiem prawdziwej kultury. Dowodzą o postępie ludzkości nawet w dziedzinie miłosierdzia. Więc co ludzi w tych głośnikach gniewa?

Właściwie, — nie! Chodzi tylko o „frycowe”!... Nie łatwo się było pogodzić ludziom z wynalazkiem kolei żelaznych. Przeciwno Stephen sonowi oburzała się wtedy cała Anglja, że chce zniszczyć dymem świeże powietrze. O radju mówili niedawno po wsiach kmiotkowie, że ściągają burze. Mieszczuchom nie podobają się dziś głośniki. Ale i to przejdzie. Bo radio jest i być musi.

Najciekawszem zjawiskiem w pojęciach ludzkich jest zdolność przechodzenia nad niemi do porządku dziennego. Wprost niewiarogodną rzeczą wydaje się w symfonji każdego podwórza piekielny zespół akordów muzycznych, a jednak przywykliśmy do niego i podziwiamy go tylko i śmiesznie gdyż przemawia za nim prawo i siła konieczności.

Tak zwane „trzebanie betów” trzepaczkami wywołuje dotkliwy hałas, a jednak, trduno, trzepaczka głosi śmierć molom i jest orędziem czystości.

Wizaski dzieci są istną plagą kamienic, ale cóż na to poradzić! Każdą nas prawie wyrabiał sobie w podobny sposób płuća, nogi i demokratyczny światopogląd w dzieciństwie.

Koty miauczą, ha!... czyż umieją

śpiewać? Trzeba im żalosne duety wybaczyc, gdyż zato łowią myszy.

Okrzyki handlarzy działają na nerwy. Ale i tu trzeba przyznać, że każde ubranie się starzeje i ktoś wkońcu musi je sprzedawać, choćby za cenę guzików. Jeśli bowiem sami nie uczynimy tego w porę, zrobi to za nas każdy z tych, co po nas zużyta garderobę w prezencie otrzyma.

Jeśli okrzyk: „handele! handele!” brzmi komuś w uchu konkretne, to znów zawołanie: „ziemia! ziemia!” nie podoba się wielu ludziom w kamienicy. I nic dziwnego, bo nie chcą prędko umrzeć. A jednak kto pielęgnuje kwiaty w doniczkach, temu serce zadrży, westchnie, pomyśli o Kolumbie i o odkryciu Ameryki, poczem przynajmniej podleje ład pod wyschniętym fikusem domowym.

Do symfonji podwórzowej można by zaliczyć przeróżne koncerty grajków ulicznych i połykaczy szpad. Łączą się z tem wymyślania dozorców, ale cóż nas wreszcie to obchodzi. Sami przecież otwieramy okna właśnie wtedy, gdy nasi goście bawią się i krzyczą w najlepsze.

W tym chórze dźwięków wprost najprzystojniej zachowuje się głośnik w kamienicy. Trzeba to koniecznie uznać. Należy mu się najwznioślejsze miejsce z symfonji podwórzowej. A trzeba się z tem uznaniem pośpieszyć, gdyż genjusz czasu wyprzedza codzien i dystansuje ludzki konserwatyzm. Symfonia podwórzowa już wzbogaciła się bowiem o nowy oddźwięk radiowego społeczeństwa. Wczoraj usłyszałem, jak ktoś za oknem wołał:

— Anteny naprawiaaaaaa!

Jak z tego widać, powstał poprostu nowy fach, związany dawniej z garnkami, a dzisiaj spokrewniony z duchem czasu: — druciarstwo anten.

Ogrodnictwo i hodowla

PODKWIATKI

— CELEUSY

Jest to wdzięczna bardzo dekoracyjna roślina, o aksamitnych liściach, zabarwionych wszystkimi kolorami tęczy. Odznaczają się one ponadto pięknym rysunkiem.

Użytek dekoracyjny może być wieloraki. W pokoju wielkie jej rozłożyste krzaki sięgające i 120 cm. wysokości, wyglądają pięknie. Skrzynki balkonowe obsadzone Coleusami zdaleka wabią oko grą kolorów.

W ogródkach wysadzona na kłombach, rabatki i t. p. jest również niezastąpiona, dzięki temu, że bardzo

szybko rośnie i tworzy wielkie krzaki.

Należy ona do rodziny wargowatych. Posiada zielone, kańczaste pędy, które z wiekiem drewnieją. Liście różnobarwne mniej lub więcej zmarszczone, o ząbkowanych często falistych niemal kędzierzawych brzegach. Stanowią one główną ozdobę rośliny.

Kwiaty białe, lub niebieskie ułożone w wielkie kiście nie posiadają żadnych walorów dekoracyjnych, to też powinny być starannie wycinane, gdy tylko się ukażą w pąkach, aby się roślina niepotrzebnie nie wysiliła, bo to się odbija na liściach, które karleją i stają się mniej pięknie zabarwione.

Coleusy rozmnażać można z siewu wczesną wiosną, ale ten sposób można polecić tylko tam, gdzie chodzi o otrzymanie jakiejś nowej odmiany. Najpraktyczniej jest rozmnażać je przez sadzonkowanie, skutecznie to możemy w ciągu całego roku. Zakorzenienie następuje w ciągu 7—10 dni. Wówczas rozsadzamy roślinki do pojedynczych doniczek w lekką ziemię inspektową. Gdy tylko zaczynają bujnie rosnąć, zasilamy je co 7 dni płynnymi nawozami sztucznymi, jeśli chodzi o rośliny hodowane w pokoju, lub rozcieńczoną gnojówką, jeśli chodzi o rośliny balkonowe lub ogrodowe.

Coleusy są bardzo wrażliwe na wiosenne chłody, to też wysadzać je

na powietrze można dopiero w końcu maja. W skrzynkach balkonowych wysadzamy je co 20 cm. Latem potrzebują one dużo słońca i wody, nie znoszą natomiast kropienia liści. Najlepiej przeznaczać pod nie wystawę słoneczną.

Znoszą doskonale cięcie, to też gdyby coleusy zbyttno nam się rozczewiły i krzaki nabrały niepożądanego wyglądu, można je przyciąć stosownie do potrzeb i gustów.

Roślin hodowanych w ogrodzie lub na balkonie nie zimuje się zwykle, boby to było dość kłopotliwe, a wobec szybkiego wzrostu i łatwości zakorzenienia się zupełnie bezcelowe.

Pozostawia się je tedy na pastwę jesiennych chłódów, które resztą niszczą całą ich krasę, a hoduje się specjalnie jedną lub dwie doniczki, które się przez zimę otacza opieką, aby one mogły wczesną wiosną dostarczyć materiału na sadzonki.

W tym celu tniemy zgrabne sadzonki w czerwcu lub lipcu, a gdy się zakorzenia, przesadzamy je w doniczki sadzonkowe i do jesieni przesadzamy je jeszcze dwukrotnie do coraz to większych naczyn. Ostatnie przesadzenie nie powinno jednak później wypaść jak w końcu sierpnia. Ziemię dajemy liściową z dużym dodatkiem gruboziarnistego piasku.

Najlepiej jest hodować te rośliny-matki na wolnym powietrzu, w połowie września jednak chronimy je przed chłódami, gdyż nie lubią wilgoci wieczornych mgieł.

Przez zimę trzymamy podkwiatki w ciepłym pokoju, na słonecznym oknie, jak najbliżej światła i czynimy wszystko, aby nie straciły liści. Podlewać należy umiarkowanie, ale nie dopuszczać do suszenia, pokazujące się pąki kwiatowe wycinać starannie.

W marcu pociąć roślinę na sadzonki, jeden silny krzak może ich dać kilkadziesiąt, roślinę macierzystą przesadzić, przyciąć i podlewać pilnie.

Marja Mauve.

Zbiór i przechowanie cebuli

Zbiór cebuli na zimowe przechowanie wymaga wiele staranności.

W początkach września, gdy szczypior cebuli zaczyna na dobre schnąć i przewraca się, wówczas przechodzimy plantację i przede wszystkim wrywamy i odkładamy osobno sterzące tu i owdzie cebule ze szczypiorem zielonym, jeszcze nie przywędłym.

Są to cebule, które już nie dojrzeją wcale, główki mają wydłużone, źle wykształcone i są niezdatne do przechowania w ciągu zimy, sta-

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa wagi, przyszcze i zmarszczki oraz odtłuszcza skórę.



ranna tedy selekcja tu konieczna.

Wrywamy je, wiążemy ze szczypiorem w pęczki i konsumujemy na jesieni, lub też sprzedajemy natychmiast. W mokre lata, które nie sprzyjają naogół uprawie cebuli, zbywać musimy w ten sposób do 25% zbioru.

Następnie wrywa się pozostałą cebulę ze szczypiorem przyschniętym, starając się usilnie o to, aby zbiór ukończyć przed jesiennymi słotami.

Cebulę wrywa się, ciągnąc za szczypior i układa się na zagonie w nieduże kupki. Pozostawiamy ją tak na przeciąg 4—5 dni. Potem obcina się szczypior na samą główkę, bacząc, aby jej nie uszkodzić i znów ją się rozkłada na jakieś 2—3 dni do dalszego przyschnięcia.

Tam, gdzie chodzi o mniejsze ilości cebuli, praktyczniej jest nie obcinać szczypioru, lecz wpleść go w słomę lub sznurek w warkocz, który następnie rozwiesić na krokwiach lub żerdziach pod dachem w miejscu suchym i przewiewnym.

Gdy cebula na kupach doskonale zwierzchu obeschnie, przenosimy ją w workach lub koszykach w miejsce, gdzie ma przez zimę pozostać. Manipulując z cebulą, trzeba uważać, aby jej nie odgniatać, kaleczyć i t. p., gdyż uszkodzona bodaj nieznacznie, źle się przechowuje i gnieje. Również trzeba uważać, aby nie obedrzeć cebul z wierzchniej łupiny, zabezpieczającej od gnicia.

Wysokość plonu jest bardzo względna i wahania są tu duże, zależy to bowiem zarówno od odmiany, uprawy, pielęgnacji i warunków atmosferycznych danego roku. Urodzaj np. cebuli zytawskiej waha się przeważnie w granicach od 180—300 metrów z 1 ha.

Przechowywanie cebuli przez zimę jest dość kłopotliwe, bo przy nieumiejętnym obchodzeniu się z nią

wielki jej procent gnieje. Cebule wyhodowane z dymki dużo gorzej się przechowują niż te, które były prowadzone z nasienia.

Miejsce, przeznaczone do przechowania cebuli powinno być suche, przewiewne, zabezpieczone od mrozu zimą a od ciepła wiosną. Cebula nie znosi temperatury niższej niż 5° C. ani też wyższej niż 6° C. na wiosnę. Często przechowuje się cebulę na strychach i poddaszach, ale najlepszym dla niej schronieniem jest piwnica sucha, przewiewna i chłodna. Tam przechowuje się cebule, poukładane na półkach, jak jałtka, pod żadnym pozorem nie można jej składać wprost na ziemi, bo gniją.

Tam, gdzie się uprawia i przechowuje większe ilości cebuli, wskazaniem jest budować do tego celu specjalne budynki o podwójnych ścianach, w których można utrzymywać temperaturę o parę stopni wyżej zera. Na półkach cebula nie powinna być ułożona warstwą grubszą niż 15—20 cm.

Mniej więcej w połowie zimy cebula musi być bardzo starannie przebrana i przełożona. Jeśli jednak zmuszeni byliśmy składać cebulę niezupełnie dosuszoną, zabieg ten musi być skuteczniejszy co jakieś 6 tygodni, a im bliżej wiosny, tem częściej.

Dopóki temperatura jest łagodna i niema większych mrozów, okna, drzwi i dymniki przechowalni trzymamy otwarte, aby był stały przewiew. Z chwilą nastania pierwszych mrozów wszystkie otwory szczelnie zamykamy, a cebulę przykrywamy matami. Gdy przyjdą mrozy jeszcze silniejsze, kładziemy drugą warstwę mat. Gdy mrozy się zmniejszają, zdejmujemy maty.

W szczególności mroźne zimy może się zdarzyć, że cebula przemarznie. Ma to często miejsce przy przechowywaniu jej na poddaszach. Stała się ona wtedy twardą, jak kamień, i pod światło prześwieca. Zmarzniętej cebuli pozwalamy bardzo wolno odtajać, bo przy raptownym odtajaniu zepsuje się wszystka. Natomiast, gdy taje wolno, jest zdatna do użytku, lecz nie daje się przechować dłużej niż 2 miesiące od momentu przemarznięcia.

Cebula nie znosi też ciepła wiosennego i pod wpływem pierwszych dni wiosennych zaczyna zwykle gwałtownie mięknąć, gnić i przeraść.

W marcu, gdy temperatura się podnosi, rozgarniamy cebulę jak najcieńszą warstwą, a okna i wszelkie otwory zamykamy szczelnie na dzień, otwierając zaś na noc.

Psującą się cebulę należy jak najczęściej przebierać.

Marja Dąbrowa.

Dom i gospodarstwo

Rozkwit czy upadek nauki gospodarstwa domowego

„Bluszcz” w 30 numerze przynosi dwa artykuły, omawiające sprawę gospodarstwa kobiecego, które stoją pozornie na dwóch biegunowo przeciwnych stanowiskach.

Autor artykułu podpisanego S. S. twierdzi, że mamy rozkwit nauki gospodarstwa. Posiadamy bogatą literaturę gospodarczą, liczne czasopisma o ciekawych i obszernych działach z tego zakresu, pouczające odczyty i kursy, nawet unję gospodyń słowiańskich. Mamy Związek Pań Domu, które się interesują ekonomicznymi zagadnieniami, mamy Radę gospodarczego kształcenia kobiet.

Pani J. Krawczyńska w artykule „Wychowanie i szkoła” notuje fakt, że usuwa się z szkół powszechnych nauczycielki gospodarstwa domowego i maluje bardzo prawdziwe i wcale nie pochlebne dla nas fakty zupełnego analfabetyzmu wielkich rzesz kobiet w dziedzinie kultury domowej.

Z jednej strony brud, z drugiej marnotrawstwo, i powiedzmy sobie z trzeciej jakże często jeden z drugim w harmonijnym zespole.

Dobrze się stało, że sprawy te porusza „Bluszcz” teraz, właśnie teraz, kiedy cały świat pracujący na polu nauki gospodarstwa przygotowuje się do udziału w V-y międzynarodowym kongresie gospodarczego kształcenia kobiet, mającym się odbyć między 21—26 sierpnia w Berlinie.

Dowiemy się na tym kongresie z referatu biura „Federacji gospodarczego kształcenia”, jakie postępy dokonane zostały w rozmaitych państwach od lat 7-iu, t. j. od chwili ostatniego kongresu, który miał przedstawicieli trzydziestu kilku narodów i przeszło 4000 uczestników.

Jakież tematy wysunięte zostały przez komitet organizacyjny kongresu, jako najważniejsze w chwili obecnej?

Oto poza obrazem postępu, stanowiącym pierwszy temat, mamy w drugim „Naukowe podstawy w uczeniu gospodarstwa domowego”, połączone z wystawą i dwiema lekcjami wzorowymi.

Temat 3: „Potrzeba naukowej or-

ganizacji i racjonalizacji gospodarstwa.

Temat 4: „Praktyki gospodarcze” (właśnie w dosłownym tłumaczeniu: Czeladnictwo). Przygotowanie zawodowych kierowniczek pensjonatów, jadłodajni etc.”.

Organizacja kongresu jest trochę odmienna od dotychczasowych. Cztery sekcje pracować będą kolejno, poszczególne referaty nie będą czytane, lecz zostały łącznie opracowane przez referentów ogólnych, mających przedstawić całokształt każdego zagadnienia, poczem nastąpi dyskusja a pierwszeństwo w zabraniu głosu będą mieli autorzy poszczególnych referatów, jednak z ograniczeniem przemówień do 5 minut.

Pierwszy temat otrzymała do opracowania Szwajcaria, drugi Niemcy, trzeci Polska, czwarty Anglia.

Ponieważ Rada Gosp. Kształcenia Kobiet należy do Międzynarodowej Federacji, więc jej przypadło w udziale przygotowanie do kongresu, to jest opracowanie referatów i organizacja naszego działu w Wystawie.

Referaty zyskały uznanie Komitetu Kongresowego, czego dowodem jest powierzenie Polsce referatu ogólnego, co dotychczas było wyłącznym udziałem Anglii, Ameryki, Francji i Niemiec. Próbną wystawką okazów przygotowanych dla ilustracji zagadnienia II-go odbyła się niedawno w warszawskim państwowym seminarjum dla nauczycielek gospodarstwa.

Kilkanaście szkół, poczynając od szkół powszechnych, a kończąc na szkołach typu licealnego i seminarjach, przygotowało niezmiernie ciekawe i pouczające tablice i okazy. Świadczy to wymownie o wielkim, o poważnym postępie w traktowaniu nauki gospodarstwa w naszym szkolnictwie.

Nie będę opisywała treści okazów przygotowanych, gdyż polski komitet kongresowy zamierza zwołać w Warszawie po Kongresie Berlińskim konferencję sprawozdawczą, połączonej z pokazem naszego działu wystawowego, który zamierzamy jeszcze wzbogacić innymi okazami zebranymi w kraju, a może także przywiezionymi z Berlina. Taka konferencja może wydatnie wpłynąć na pogłębienie odnoszenia się nasze-

P o powrocie z wywczasów

radzimy stosować drogie, lecz oszczędne w użyciu i niezawodne w skutkach środki do pielęgnacji twarzy, na wybielenie **Krem Cytrynowy**, przeciw piegom **Krem Akajowy**, przeciw zmarszczkom **Krem Radohormonowy**, na wygładzenie cery **Krem Najdelikatniejszy** oraz **Higieniczny** róż i puder **Dr J. Świtalskiej „ŚWI T”**

Laboratorium Higienicznych Kosmetyków

Warszawa, Al. Ujezdowskie 37, tel. 8-92-77

go do spraw ekonomiki domowej, może nawet wywoła przewartościowanie pojęć o znaczeniu odpowiedniego przygotowania kobiet do pracy gospodarczej. To też artykuły w tej sprawie pomieszczone w „Bluszczu”, stanowią cenny wstęp do publicznego jej poruszenia.

Autorka artykułu o „roli kobiety w życiu ekonomicznym kraju” ma rację, gdy twierdzi, że postęp u nas jest duży. P. J. Krawczyńska ma także rację gdy dowodzi, że sprawa jest niedoceniana przez sfery rządowe. Moglibyśmy zacytować na to wielką liczbę dowodów. Wymienię ich tylko kilka: olbrzymi dział nauczania gospodarstwa jest przydzielony w Ministerstwie Oświecenia do wydziału *szkolnictwa handlowego* i nie posiada nawet referentki. W szkolnictwie rolniczym jest tylko jedna wizytatorka na całą Polskę, wizytacja szkół rolniczych kobiecych powierzona jest mężczyznom, którzy są dzielnymi fachowcami w dziedzinie rolnictwa, ale nie są przygotowani do oceniania stanu nauki gospodarstwa domowego jak również do wychowania szkolnego dziewcząt wiejskich.

Wreszcie wspomnę już tylko, że, jeżeli w tej chwili więcej się robi w zakresie szkolnictwa ogólnie kształcącego, niż gospodarczego w obrębie Ministerstwa, to nie znaczy to wcale, że poziom ogólny tej nauki jest słaby. Przeciwnie, prywatna inicjatywa bardzo duży postęp wykazuje, szkoły gospodarstwa typu licealnego stoją wysoko, seminarjum warszawskie mimo fatalnego pomieszczenia z każdym rokiem podnosi swój poziom i pod względem metodyki nie ustępuje najlepszym seminarjom zagranicznym.

Gdybyśmy jeszcze zdobyli tak upragnione placówki naukowe na poziomie akademickim, gdybyśmy

DŁUGA PODRÓŻ MINIE NIEPOSTRZEŻENIE

gdy zabierzesz do wagonu ciekawe dzienniki i czasopisma.

mogli przystąpić do założenia fundamentów pod pedagogium gospodarskie dla przygotowywania personelu kierowniczego i sił naukowych, to bodaj że moglibyśmy pomyśleć o zaproszeniu cudzoziemców za lat 5, to jest w okresie przewidzianym na następny kongres, do Polski.

A kto wie, czy taka propozycja nie będzie wysunięta na naradzie Komitetu Międzynarodowej Federacji.
M. Karczerska.

Porządek

W życiu domowym jest jedno zagadnienie pierwszorzędnej wagi, zagadnienie, z którym niestety, trudno być w idealnej zgodzie.

Jest nim *porządek*, pojęcie u nas w Polsce różnorodnie interpretowane. Porządek i skala kultury dnia powszedniego, to dwa czynniki, które nie odgrywają w naszym życiu roli tak pierwszorzędnej jaka im się należy.

Wina spada tutaj współmiernie na barki: jednostek i warunków. Coprawda w tych, niejednokrotnie oplakanych, *warunkach*, *jednostki* szukają aż nadto gorliwie usprawiedliwienia, a z drugiej strony przyznać trzeba, że mogą one być nieraz poważnym usprawiedliwieniem.

Porządek polega przede wszystkim na *nierobieniu nieporządku*. A to jest system rzadko kiedy doceniany i stosowany.

Brak dyscypliny w tym kierunku zaznacza się najsilniej w kuchni. Jest ona coprawda terenem gospodarki naszych pomocnic, najgorliwszych burzycielek systemów porządkowych, jest ona równocześnie terenem najzaciętszej walki pomiędzy głową domu — panią, a pomocniczymi rękami — służącą.

Naogół jedynym momentem, względnie idealnego porządku w kuchni są godziny wieczorne, kiedy po skończonym dniu wszystko zostało pozmywane, poczyszczone i schowane na miejsce. W ciągu tego dnia przeciętna kuchnia przedstawia teren bezplanowych igrzysk, które wywołały z wnętrza szaf, półek i szuflad cały niemal inwentarz kuchenny do zapasów.

Spieźnione naczynia oczekujące na zmywanie; produkty przyniesione z miasta ciśnięte na stół, na krzesło, na półkę. Podłoga pod zlewem, czy zmywakiem zachlapana. Odłamki drzazg i okruszki węgla. Tu ciśnięty fartuch, tam ścierka. Pobojo-wisko.

Są to bezsprzecznie skutki braku podstawowego wyszkolenia w pracy, idącego z nim w parze braku opanowania w pracy i tego fatalnego pośpiechu, który budowę zaczyna od burzenia.

A jedną z najwierniejszych sojuszniczek porządku i ład u jest maksyma, która każe *śpieszyć się powoli*, to znaczy: wykonywać czynności spokojnie, rytmicznie bez gorączkowego zdenerwowania. I tego właśnie wiele z naszych pań domu i żadna prawie z naszych pomocnic nie rozumieją i nie mogą sobie przyswoić.

A w pokojach?

Idealny porządek i ład naszych mieszkań są równie dotkliwie zagrożone, jak porządek w kuchni.

Tutaj coprawda kadry zapaśników są liczniejsze, a tem samem i walka trudniejsza.

Jeżeli pani domu jest gorliwą wyznawczynią porządku, walczy zacięcie o jego nieskazitelne oblicze z całym zastępem sił wrogich.

Samo podstawowe sprzątanie, wykonane podług najwymyślniejszych prawideł i z najpoprawniejszym skutkiem nie rozwiązuje jeszcze sprawy. Na terenie drobiazgowo i fachowo sprzątniętego mieszkania rodzą się co chwila zasadzki, w które „porządek” wpada jak nieopatrzny ptak w nastawione sidła.

Zagrażają mu zwykle sami domownicy, którzy nie mają pojęcia o umiejętności uszanowania cudzej pracy, o konieczności *współdziałania* w utrzymaniu wnętrza domowego na stopniu kulturalnym. Nie chodzi tutaj zresztą o ich efektywną współpracę (co stworzyłoby dopiero idealne warunki domowe), ale o to, aby *nie niszczyli tego co robią inni*.

Tymczasem niszczycielstwo kwitnie na całej linii. „Domownik”, po którym nie trzeba sprzątać chociaż kilka razy dziennie, to w naszych polskich warunkach biały kruk, a wiadomo, jak rzadko spotyka się białe kruki.

Na sprzeciw pani domu, która zwraca uwagę, słyszy się najczęściej replikę: „a od czegoż jest służąca, zadzwoń na nią niech sprzątnie”.

Najczęściej „sprząta” sama pani, bo przeciętna służąca do wszystkiego w domu w miarę zaludnionym nie może być odrywana dzwonekami od roboty, której i tak ma pełne ręce.

Gorzej, daleko gorzej jest, jeżeli i pani domu uważa, że utrzymanie porządku należy tylko do jej pomocnicy, a jeszcze gorzej jeżeli jest zdania, że nie wchodzi on w skład konieczności życiowych.

Nikt tak jak kobieta nie jest w stanie zburzyć porządku, nikt tak jak ona nie umie się przyczynić do podtrzymania go.

Mężczyzna „narobi nieporządku” rano. Rozsypuje popiół; rzuca niedopalki papierosów; zachlapie umywalnię, czy łazienkę; porozrzuca części garderoby. Ale skończy swoje występy gościnne w przeciągu godziny, wyjdzie z domu do pracy i nie tak znów trudno wygładzić po nim teren.

Ale bezładna, niedbała pani domu, przed którą leży jak otwarta książka szereg dni, całokształt życia domowego, to plaga niemal że społeczna.

Idealny porządek opiera się na idealnej organizacji i na drobiazgowym (nie mało-stkowym) wprowadzeniu jej w czyn.

Każda rzecz musi mieć swoje miejsce i każda rzecz musi od razu wrócić na swoje miejsce, a wtedy nigdy nie będzie nieładu.

Zresztą pojęcie zamknięte w słowie „porządek” to nie tylko wzorowa czystość, to ogólny *porządek życia*, rozpoczynający się od przestrzegania réjim'u domowego, a sięgający głęboko we wszystkie przejawy życia zewnętrznego i wewnętrznego.

Tak szeroko ujęty „porządek” jest bezsprzecznie punktem ciężkości zrównoważonego życia. Kto umie oprzeć swoją egzystencję na wzorowym rytmie, wolnym od dysonansów może się uważać za jednostkę która rozwiązała jedno z ważniejszych zagadnień naszego doczesnego bytowania.

Nie można jednak poprzestać na stwierdzeniu, że się jest idealną dyrygentką dopóki cały zespół nie będzie naleźycie i bez zastrzeżeń wyćwiczony, a to jest może najtrudniejsze zadanie.

Każda z nas, która ma głębokie umiłowanie porządku, ład, harmonii i rytmu musi posiadać jeszcze olbrzymią dozę cierpliwości, musi mieć podstawowe wytyczne pedagogiczne. Jeżeli już umiała „wychować” siebie, niechże wychowa i swoje otoczenie, a przyczyni się tem nie tylko do dobrobytu jednostek. Jednostki z głęboko wpojonem umiłowaniem wszechstronnego porządku, to krzewiciele wyższych potrzeb kulturalnych w społeczeństwie, które u nas, jak dotąd umie zadawać się okruszami.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Zapasy zimowe.

Korniszony w occie. Wybrać drobne, zupełnie zdrowe korniszony. Obetrzeć je starannie z piasku czystym płótnem, ułożyć na misce, przysypując grubo solą. Pozostawić tak 24 godziny.

Po upływie tego czasu wyjąć korniszony z soli, jak najstaranniej obetrzeć, ułożyć na misce, zalać wrzącym octem, przygotowanym z drobnymi cebulkami, paroma ziarnami pieprzu, ziela angielskiego i listkiem bobkowym. Przykryć, pozostawić do drugiego dnia.

Wyjąć korniszony z octu, ułożyć w garnkach kamiennych, albo słojach szklanych, ocet jeszcze raz przegotować dodając dla smaku trochę cukru. Zalać możliwie gorącym octem korniszony, a gdy wystygną, owiazać pergaminem.

Pikle z nasienników. Zebrać duże, piękne ogórki nasienniki (zupełnie żółte). Obrać cienko z wierzchniej skórki, przepołować wzdłuż, wybrać łyżką pestki i miąższ, pokrajać w paski na palec grube i długie. Ułożyć ogórki na misce ka-

miennej, przesypując dosyć obficie solą.

Na drugi dzień wyrzucić ogórki na sito, aby doskonale obciekły ze słonego sosu jaki się wytworzy i wrzucić je na obfitą wrzącą wodę. Zagotować raz jeden i zaraz wyjmować łyżką durszlakową na sito. Osączone z wody ogórki układać w słojach, przesypując ziarnkami białej gorczycy, a kto lubi bardzo mocne może dodać i chrzanu krajane w drobną kosteczkę. Słój wypłnić w $\frac{3}{4}$ i zalać następującą zaprawą:

Na cztery litry octu wziąć 80 dkg. cukru, zagotować i wyszumować, biorąc kilkanaście ziarn ziela angielskiego i kilka listków bobkowych. Zalać pikie możliwie najgorętszym octem, a po całkowitem wystudzeniu owiazać pergaminem.

Pikle angielskie mieszane. Na pikie bierze się: kalafior, marchewkę, selery, zieloną fasolkę, małe zielone pomidorki, świeży zielony pieprz turecki, drobną cebulkę i drobnutkie korniszony.

Marchewkę oczyścić, pokrajać w talarki; tak samo selery. Kalafior podzielić na drobnutkie różyczki. Fasolkę najlepiej wziąć młodziutką, o maleńkich wąskich strączkach (flagolet), a jeżeli używamy większe strączki, pokrajać je na skos. Wszystkie te jarzyny obgotować na lekko osolonej wodzie, osączyć.

W wilgę dnia przygotować korniszony, jak wyżej. Maleńkie pomidorki pozostawić w całości. Pieprz turecki pokrajać w paski. Cebulki obgotować i przelać zimną wodą.

Wszystkie te jarzyny ułożyć na misce, zalać wrzącym octem przegotowanym z zieleń angielską i listkami bobkowymi. Przykryć deseczką, albo talerzem (nigdy metalową pokrywą od rondla), pozostawić do drugiego dnia.

Wybrać jarzyny z octu, układać w słojach nie warstwami, a mieszając jarzyny. Ocet jeszcze raz zagotować dodając trochę cukru dla smaku, zalać do-

brze ciepłym. Jeżeli kto lubi bardzo ostre pikie może odlać trochę powtórnie przegotowanego octu, wystudzić go, rozpuścić w zimnym occie 2 łyżki sproszkowanej gorczycy, licząc na 8 litrów octu i dodać tę ostrą zaprawę do pikli, dzieląc ją na tyle części ile mamy słoje.

Kalafior marynowany. Piękne, białe, twarde kalafior podzielić na drobne różyczki, rzucając je w czasie dzielenia do lekko zakwaszonej zimnej wody.

Zagotować lekko osoloną wodę, wrzucić na wrzącą podzielone kalafior (muszą pływać swobodnie), gotować 5 minut. Wyjąć na sito, osączyć, ułożyć na misce, zalać octem przegotowanym z zieleń angielską i listkami bobkowymi. Przykryć, pozostawić tak na przeciąg 24 godzin. Po upływie tego czasu zlać ocet, kalafior złożyć do słoje, ocet przegotować powtórnie z dodatkiem cukru dla złagodzenia smaku. Letnim, zalać kalafior.

Kurki, albo gaski marynowane w occie. Oplókanne grzyby rzucić na obfitą dobrze osoloną wodę. Gotować na wolnym ogniu 15 minut. Wybierać łyżką durszlakową i rozsypywać na sitach, żeby doskonale obeschły.

Tak przygotowane grzyby układać w słojach, zalewając octem przegotowanym z dużą ilością drobnych cebulek, zieleń angielską i listkami bobkowymi. Ocet lekko osłodzić.

Ogórki kwaszone na zimę z octem. Proporcja: 12 litrów wody, szklanka mocnego wyborowego octu, szklanka wódki czystej, wysokiej próby, soli 60 dkg. Przygotować barylę dębową, wyszorowaną czysto i wyparzoną. Wyłożyć dno barylki koprem, liśćmi wiśniowymi i szlachetnego wina, dodając gdzieś liść dębowy. Układać warstwami, czysto umyte ogórki, którym nie trzeba przycinać ogonków. Pomiedzy ogórki dawać niewielkie ilości liści i kopru. Przykryć

z wierzchu drugą warstwą mieszaniny z wyżej wymienionych liści i kopru. Wlać przez otwór, zrobiony na szpon, wrzącą mieszaninę przygotowaną z powyżej podanej proporcji i zaraz lekko zaszponować. Na drugi dzień otworzyć barylę, dolać dopełna sosu pozostawionego z dnia poprzedniego, zaszponować mocno, zalać pakim dokoła szponu, aby powietrze zupełnie nie miało dostępu. Trzymać w chłodnej, suchej piwnicy. Przetrwają do wiosny, nie tracąc jędrności, ani smaku. Wybierając ogórki stopniowo do użycia, trzeba barylę zamykać szczelnie i oblewać otwór pakim.

Wyśmienity likier owocowy naprędce. $\frac{1}{4}$ kilograma aromatycznych owoców świeżych np. brzoskwiń, bardzo dojrzałych renklod, morel, malin, lub t. p. gotować chwilę pod przykryciem, w bardzo gęstym syropie. Gdy syrop stanie się już aromatyczny zdjąć owoce z ognia i zdaleka od ognia wlać we wrzący syrop tyle spirytusu ile mamy syropu. Przykryć. Wstawić do lodowni, doskonale wystudzić, trzymać spirytus na owocach parę godzin, poczem przefiltrować likier przez bibułę, rozebrać do smaku czystą wódką wysoko procentową, zamrozić w lodzie.

Likier egzotyczny. Proporcja: 1 litr wyborowego mleka surowego, 1 kilogram cukru kryształu, 1 litr wysokoprocentowej czystej wódki (z białą główką), 4 laski wanilii, 1 cytryna.

Pokrajać cytrynę ze skórką na niewielkie kawałki, odrzucić pestki, cytrynę włożyć do szklanego gąsiorka o dosyć szerokiej szyjce. Do tegoż samego gąsiorka wsypać 1 kilogram kryształu, włożyć 4 całe laski wanilii. Zalać to wszystko litrem wyborowego pełnego mleka i litrem czystej wódki. Zakorkować gąsiorek, pozostawić na przeciąg 10 dni potrasając gąsiorem dwa razy dziennie. Po upływie tego czasu przefiltrować likier przez szarą bibułę do filtrowania. Będzie czysty jak łąza i wyborny.

Melba.

Letnie premje dla czytelniczek „BLUSZCZU“

Uważając, że najlepszą PROPAGANDĘ pisma mogą i powinny prowadzić jego CZYTELNICZKI i chcąc je do tej akcji zachęcić, obmyśliśmy dla nich na sezon letni następujące PREMJE:

I

każdej Prenumeratorce dotychczasowej, która zjedna „Bluszczowi“ jedną NOWĄ PRENUMERATORKE, opłacającą ZGÓRY PRENUMERATĘ KWARTALNĄ, przyznamy premje w postaci KOMPLETU WYROBÓW PERFUMERYJNYCH FRYDERYKA PULSA wartości 5 złotych po cenie hurtowej, a mianowicie, do wyboru:

Wobec licznych zapytań i zgłoszeń przedłużamy termin udzielania premij do dnia 30 sierpnia b. r.

W dalszym ciągu otrzymują premje panie:

ŚLIWIŃSKA MARJA z Gniezna

HISZPAŃSKA WERA z Tarnopola

NASKRĘCKA JÓZEFA z Rychnowa

KAUFEROWA ALINA z Modlina

SKALSKA z Poznania

WOŹNIAKOWA JANINA z Krakowa

KOMPLET A.

Krem „Uroda“ do pielęgnowania cery, flakon wody kolońskiej i 6 sztuk mydła kwiatowego.

albo

KOMPLET B.

Flakon wody kwiatowej, Krem oczyszczający i 3 mydła kwiatowe większe.

II

każda PIĄTA z dotychczasowych prenumeratorok „Bluszczu“, które wniosą ZGÓRY PRENUMERATĘ KWARTALNĄ, otrzyma niezależnie od poprzedniego taką samą premje.



B. 85.

B. 86.

B. 87.

B. 88.

B. 85. Suknia wizytowa z crêpe-marocain'u ozdobiona riuszkami przy szyi, rękawach i biodrach.

B. 86. Skromna sukienka popołudniowa, chusteczka około szyi, duże mankiety i pasek z tafty w kratę w kolorach dobranych do koloru sukni.

B. 87. Strojna suknia popołudniowa z jedwabiu w haftowane kropeczki, z oryginalnym rękawem odsłaniającym ramie

B. 88. Śliczna suknia popołudniowa nadająca się do przerobienia z dwóch starych sukien, jest ona zrobiona z marocain'u w dwóch odcieniach np. Beige i bronz.



B. 89.

B. 90.

B. 91.

B. 92.

- B. 89. Granatowa suknia wełniana, kamizelka z białej piki przypięta na czerwone guziki z galalitu.
 B. 90. Suknia wizytowa z crêpe de chine desenowego, przybrana falbankami u dołu i przy rękawach, oraz żabotem kloszowym.
 B. 91. Suknia wizytowa z crêpe satin, wykonana częściowo na matową a częściowo na błyszczącą stronę, co daje bardzo ładny efekt.
 B. 92. Suknia spacerowa z lekkiej wełny w kratę z żakiecikiem w jednolitym kolorze, ciekawy jest kołnierz przekładany i przytrzymany klipssem.

B. 93. Pyjama z jedwabiu deseniowego; żakiecik z plisami z gładkiego ciemniejszego jedwabiu.

B. 94. Suknia domowa z lekkiego jedwabiu z ryłkami z białego rypsu na kołnierzu, kieszeniach i rękawach.

B. 95. Strojna suknia domowa z marocain'u zapięta na boku, szeroki kołnierz układany z ukośnych plis.

B. 96. Dekoracyjna pyjama z granatowego i białego jedwabiu, żakiecik w grochy.

B. 97. Szlafrok z jasnego crêpe-marocain, kołnierz szalowy i szarfa z ciemnego jedwabiu w odpowiednim kolorze.



B. 98. Szlafrok z flanelki deseniowej, szerokie rękawy z błyszczącego jedwabiu.

B. 99. Suknia domowa z lekkiej wełny, kołnierz podszyty jedwabiem, pasek z tegoż jedwabiu.

B. 100. Elegancka pyjama z jedwabiu w deseń, kołnierz w rodzaju perlerynki zawiązany na wielką kokardę.

B. 101. Śliczna pyjama z matowego jedwabiu w kolorze pastelowym, załot i plisy przy rękawach z błyszczącego materiału.

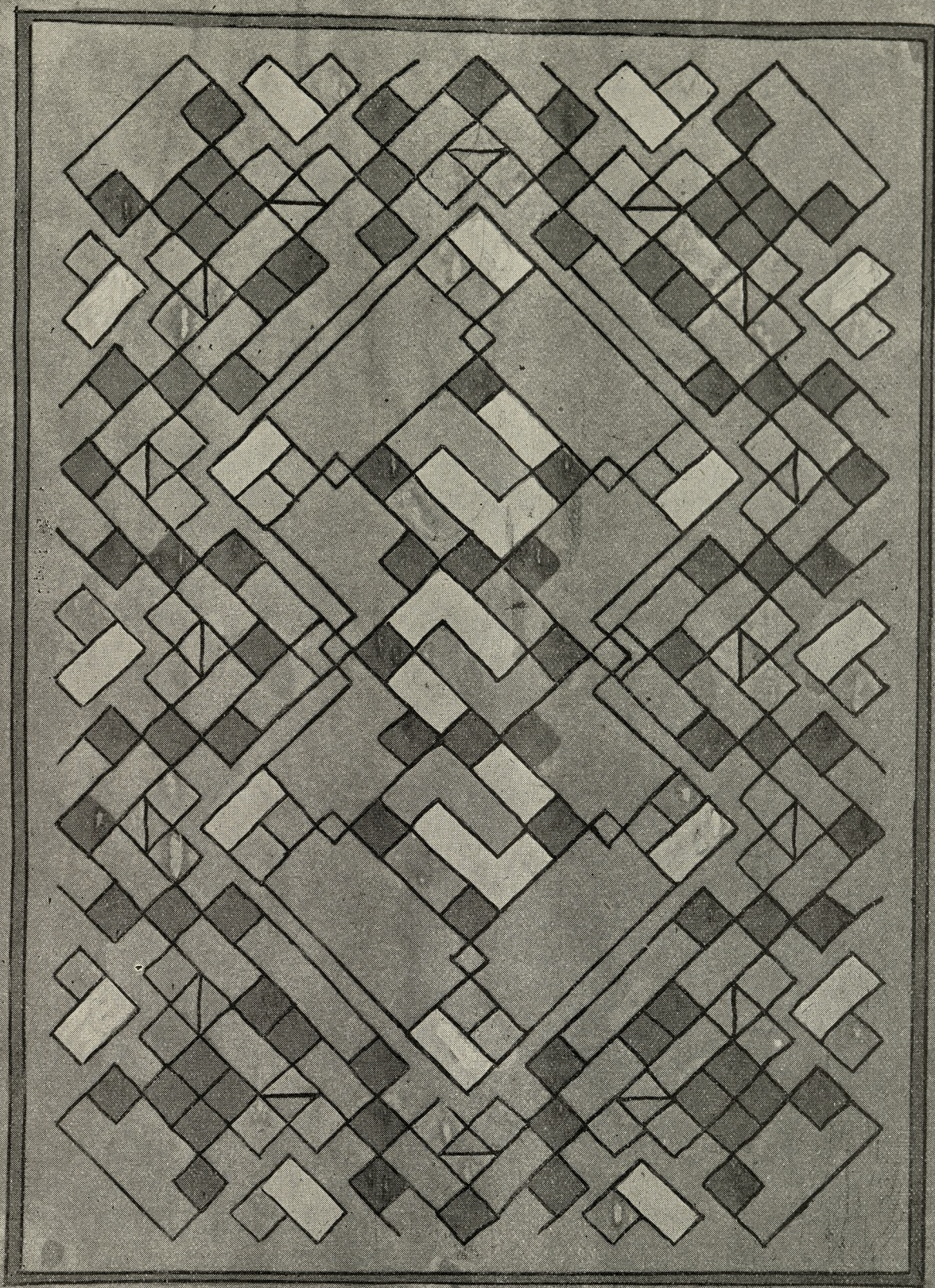
B. 102. Pyjama flanelowa, pasek z szerokiej aksamitki.



B. 99.

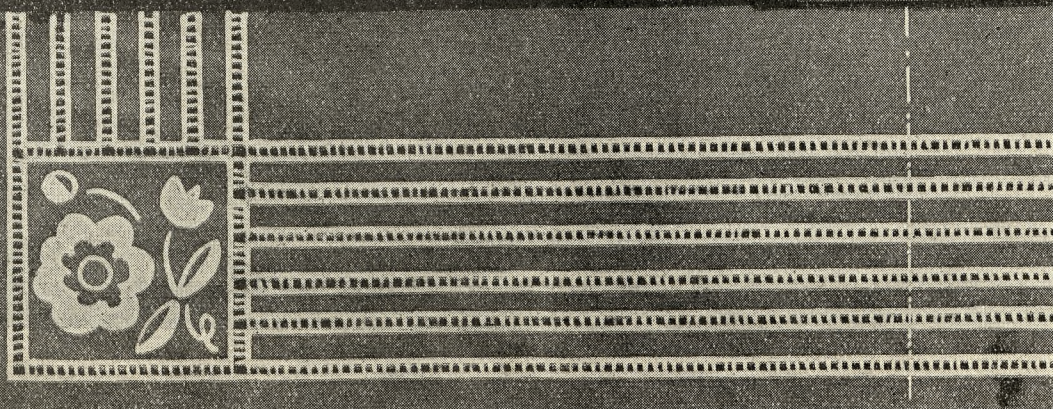
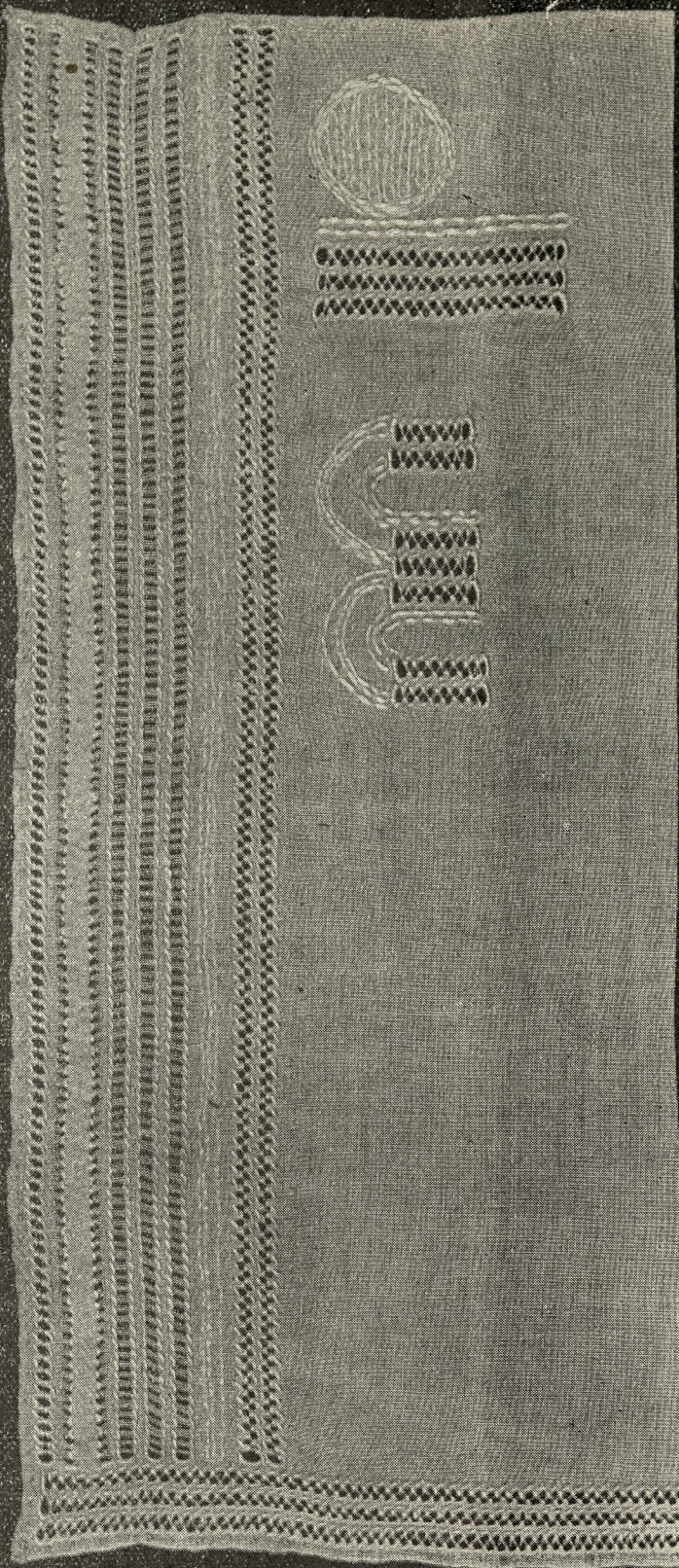
B. 100.

B. 101.

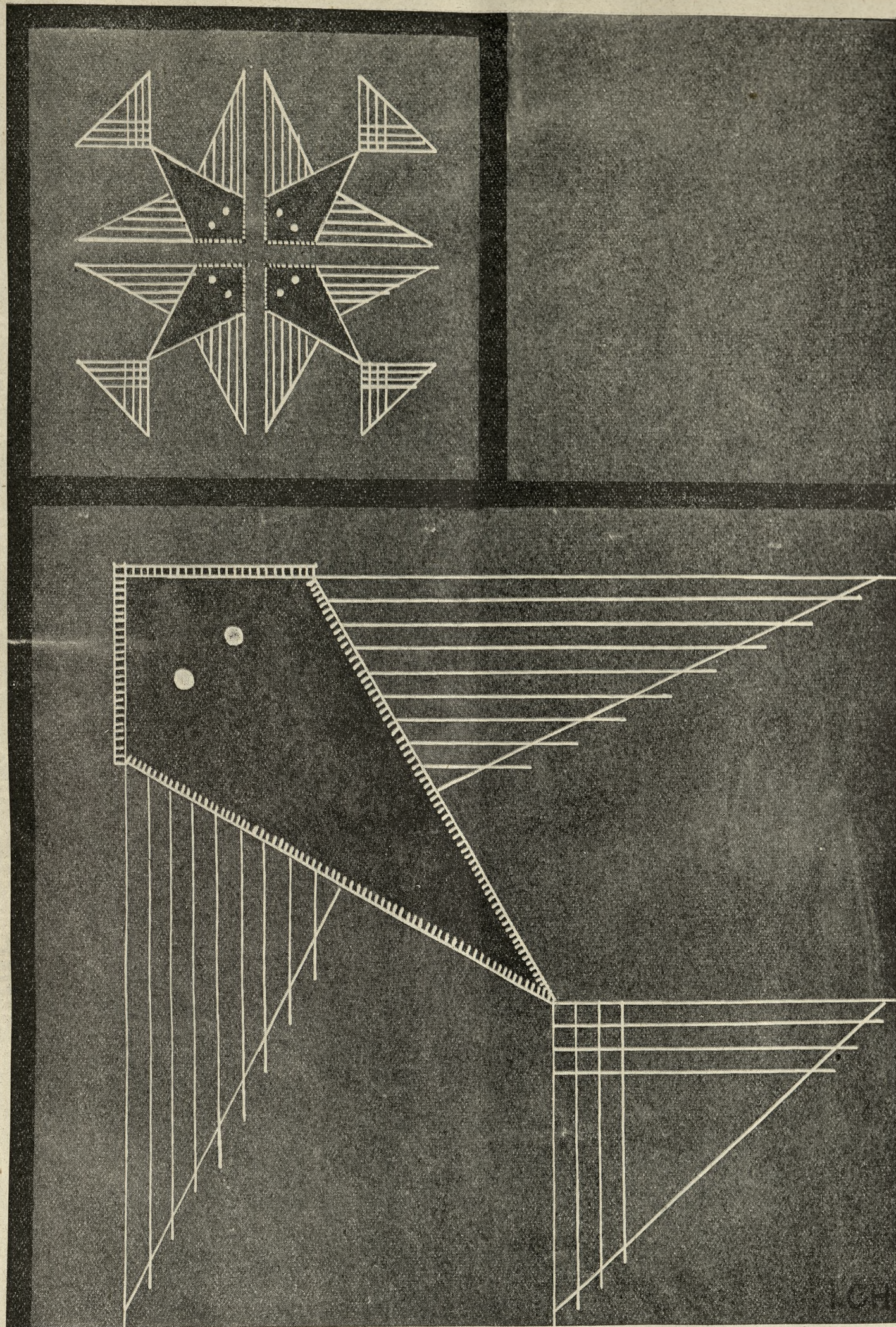


Poduszka na płótnie. Płaszczyzny ścięciem japońskim. Kontury łańcuszkiem lub pocztowym. Szczegóły w tablicy.

CHUSTECZKA Z KOŁOROWEGO OPALY MERZKI BIAŁE



CHUSTECZKA
Z BIAŁEGO OPALY
MERZKI HAFT PŁASKI
ROZOWA MERZKA
LILJOWA
ZŁOTA
ZIELONA
MORELOWA
NIEBIESKA



Poduszka na lnianym płótnie lub na grubym jedwabiu milanowieckim (z wyczeszek). 45 cm. × 45 cm. Tło szafirowe, aplikacja srebrzysto - popielata, haft. biały. Mereżka i dzierganie zwykłe. Ścieg do haftu poza igłę. U góry całość w zmniejszeniu, u dołu jedna czwarta naturalnej wielkości.

Wzory na koszule dzienne.

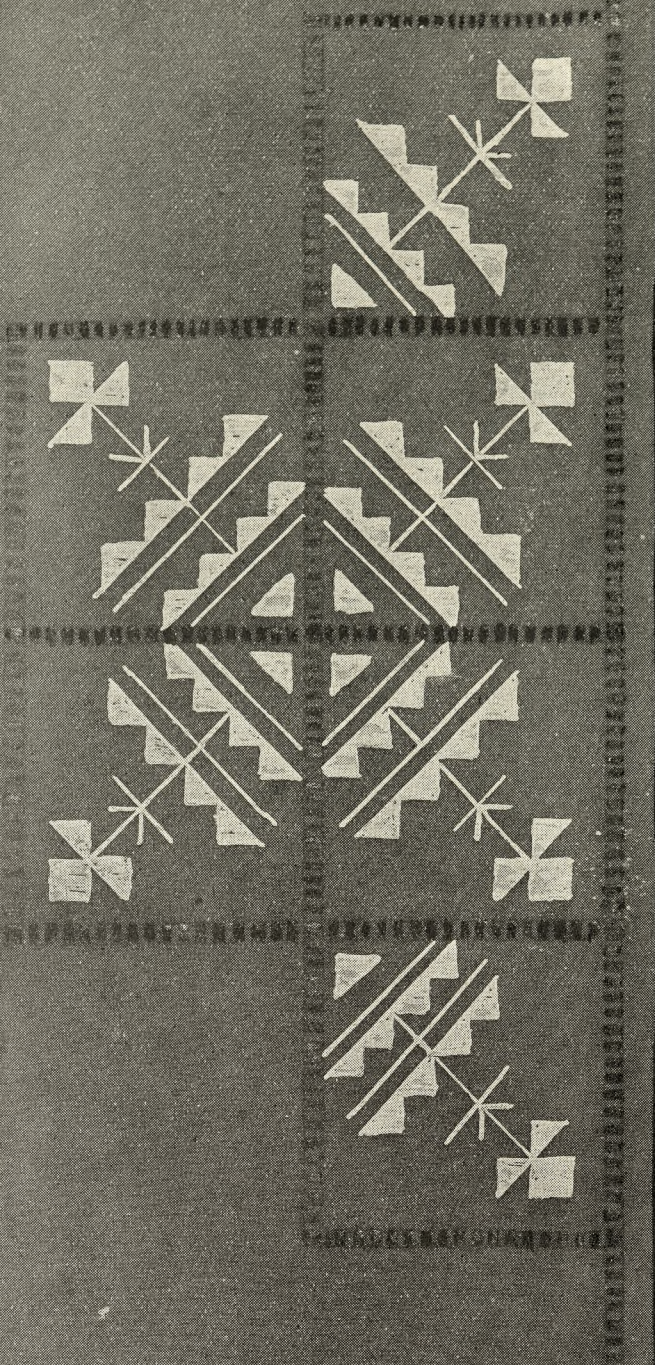
1.



ST.

3. Tomakówna

2.



ST.

Wzory te nadają się na wszystkie materjały używane na bieliznę damską — wykonane: pierwszy — atłaskiem ściętym gąsawkow. i haftem rągielskim drugi — atłaskiem — /haft pełny/ i sznurca. nici: D.M.C. № 40 na atłasce i dzivirki — № 30 na ścięgi.

LEGJONY A HUCULSZCZYNA

Pod tem hasłem organizuje Kolo Legjonowe T-wa Przyjaciół Huculszczyny we Lwowie wspólnie z Lwowsk. T-wem Fotograficznem wystawę fotograficzną połączoną z konkursem o nagrody za najlepsze zdjęcia. Celem wystawy jest zebranie materiału dotyczącego chlubnej tradycji bojowej Żelaznej Karpackiej Brygady Legjonów, by utrwalić na zawsze każdy przejaw i ślad każdy, kędy kroczył czyn Legjonów.

Otwarcie wystawy nastąpi 11 listopada 1934 r. we Lwowie. Obejmuje ona 3 kategorie zdjęć, a to:

1) zdjęcia pamiątkowe z pobytu II Brygady Leg. w Karpatach,

2) zdjęcia pamiątkowe zabytków Huculszczyny,

3) zdjęcia artystyczne krajobrazu, typów dzisiejszej Huculszczyny i t. p.

Piękna idea, wzniosły cel kulturalny i artystyczny, powaga Komitetu Honorowego Wystawy z JWPP. Inspektorem Armji, Gen. Dyw. Rómmlem Juliuszem, Wojewodą Belina-Prażmowskim, Dowódcą OK. VI, Gen. Bryg. Popowiczem Bolesławem i Prezydentem miasta Drojanowskim Wacławem, Komitet Organizacyjny z przewodniczącym Gen. Bryg. Czumą Walerjanem na czele, oraz bardzo piękne i cenne nagrody zachęcą jaknajliczniejsze rzesze zwolenników fotografii do udziału w tym konkursie.

Po szczegółowe prospekty i warunki konkursu należy się zgłaszać: w Foto-Radjo-Palace Lwów. Redakcji Ilustr. Kurjera Krakowskiego oraz w biurze Polskiej Agencji Telegraf. we Lwowie.

OGŁOSZENIA DROBNE

Dr Michałek-Grodzki

Chirurg - Plastyk

OPERACJE KOSMETYCZNE

Żłota 3 (lecznica) Warszawa, godz 1-2 i 5-7

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

POWAŻNEJ: Zmarszczki usuwa i zapobiega tworzeniu się nowych *Krem Abarid*. Na noc wymyć twarz *Otrąbkami Abarid* z ciepłą wodą, aby doskonale oczyścić skórę, i po wytarciu nasmarować lekko *Kremem Abarid*, a następnie przypudrować tymże pudrem. Poza tem nie wskazane jest używanie tłustych pudrów, dlatego polecam pani nietylko, roślinny *puder Abarid*, który nietylko nie psuje cery, lecz wprost przeciwnie, doskonale ją konserwuje.

A. M. W. KALISZU: Oile pani idzie o utrzymanie śnieżno-białych zębów, pomimo palenia, to radzę myć je rano i na noc wybielającym proszkiem *Albol*. Proszek *Albol*, nietylko nadaje śnieżną białosć zębom, ale doskonale je konserwuje i odświeża jamę ustną.

PANI B. Z.: Swędzenie skóry na głowie i łupież, usunie pani stosując płyn *Tetral-Perfection*, który jednocześnie wzmacnia włosy i zapobiega ich wypadaniu. Brwi przyciemni Pani na trwały ciemny kolor *Hennoliną do brwi*. Ma ona tę zaletę, że w ciągu kilku tygodni nie zmywa się.

KORPULENTNEJ: Zapobiegnie pani tyćciu, używając zamiast herbaty rano i na noc napar z ziół paragwajskich *Dra Grimma*. Picie tych ziółek żadnej diety nie wymaga, tak że może być stosowane bardzo łatwo.

M-me Ercèdes

WALASIEWICZÓWNA I WAJSÓWNA W LONDYNIE

Na stadionie sportowym White City w Londynie rozegrane zostały finały czwartych światowych igrzysk kobiecych. Polki uzyskały bardzo dobre rezultaty.

W biegu na 60 m. Walasiewiczówna przybyła pierwsza, uzyskując czas 7.6, pozostawiając za sobą Niemkę Kuhlman i południową Afrykankę Burke. Zwycięstwo Walasiewiczówny zostało przez publiczność przyjęte gorącymi oklaskami. Wobec uzyskania przez Walasiewiczównę pierwszego miejsca w tej konkurencji, odegrała orkiestra polski hymn narodowy i polska chorągiew narodowa została uroczystie wciągnięta na maszt. 8000 widzów obecnych na zawodach wysłuchało stojąc polskiego hymnu.

W biegu na 100 i 200 m. Walasiewiczówna nie była w swej najlepszej formie i uległa swej groźnej przeciwniczce świetnej sprincerce niemieckiej Niemce Krauss uzyskując zarówno w biegu na 100 i 200 m. drugie miejsce. Niemka Krauss wygrała na 100 m. w czasie 11.9, na 200 m. zaś 24.9. Oba te wyniki stanowią nowy rekord brytyjski.

W rzucie dyskiem we finale zwyciężyła Wajsówna bijąc własny dotychczasowy rekord i ustanawiając nowy rekord światowy z wynikiem 43.79. Wówczas poraż drugą orkiestra zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła” i chorągiew polska znów zawisła na maszcie.

Z innych wyników Kwaśniewska uzyskała 4-te miejsce w rzucie oszczepem rzucając 39.21 oraz 6-te miejsce w ogólnej konkurencji pięcioboju.

W ogólnej punktacji Polska uzyskała 33 punkty i w ten sposób obroniła swoje drugie miejsce. Na pierwszym miejscu są bezapelacyjnie Niemcy, które uzyskały 95 punktów, na 3-ciem zaś Anglija.

Zawodniczki wyjechały z Londynu w poniedziałek rano do Brukseli, gdzie będą startowały 15 sierpnia.

Jak wykonać cały szereg wykwintnych, modnych rzeczy, naucz Panie Książeczka p. t.

Artystyczne pikowanie

w opracowaniu

T. GŁĘBOCKIEJ

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Warszawa, Solec 87, Świętokrzyska 17 m. 3 oraz we wszystkich większych księgarniach.

Konto P. K. O. 12.200

Cena 1 zł. 50 gr.

z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

**Najmilszym przyjacielem
Największą ozdobą każdej biblioteki
Najdostępniejszą rozrywką**

jest dobra książka

jest pięknie wydana książka

jest tania książka

Dobre, piękne i tanie książki
wydaje Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

Ostatnio ukazała się książka
Jadwigi Kiewnarskiej p. t.

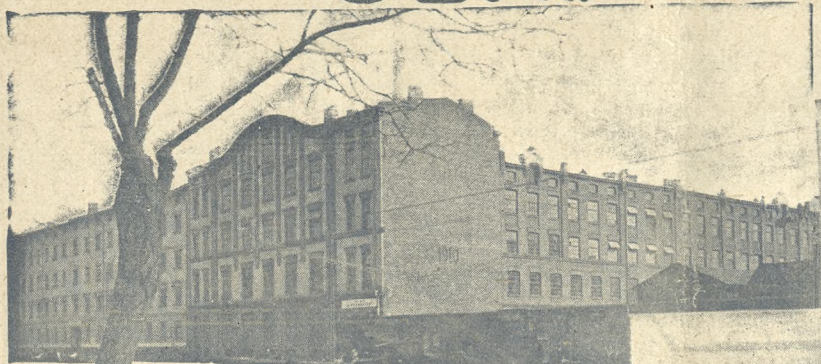
Najdziwniejszy z romansów pani Sand

Do nabycia we wszystkich
Księgarniach .: .: .: .:

CENA 6 zł.

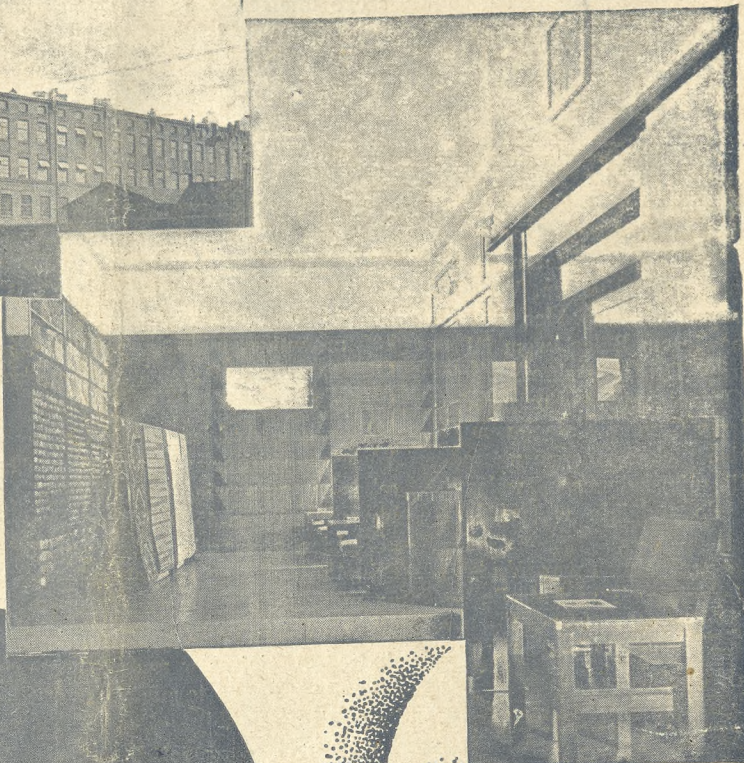
J. FRANAŠZEK ^{SP. A.K.}

OBICIA PAPIEROWE



FABRYKA

**WOLSKA
41**



**MAGAZYN DETAL:
ALJEROZOL·N·33**

**MAGAZYN DETAL:
KRAK·PRZEDM·N·15**